





Adyonaosk,



4095774

MAGAZYN NOWOŚCI

pod firmą

AU BONHEUR DES DAMES

PRZEZ

EMILA ZOLE.

TOM PIERWSZY.



1000182562

WARSZAWA

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego

1883.

A. 25256/12

Дозволено Цензурою
Варшава 10 Марта 1883 г

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Letter 13d

D. 29/59/4

ROZDZIAŁ I.

Dyoniza przyszła piechotą z dworca Saint-Lazare, dokąd przybyła pociągiem Szerburskim, z dwoma swymi braćmi, po nocy spędzonej na twardej ławie wagonu trzeciej klasy. Trzymała za rączkę Pépé'a, a Jan szedł za nią. Widocznie byli zakłopotani i jakby zbłąkani wśród rozległego Paryża. Gapili się na domy i na każdym zbiegu ulic pytali o ulicę Michodière, na której mieszkał ich stryj Baudu. Skoro weszli na plac Gaillon, młoda dziewczyna stanęła zdumiona i zawołała:

— Patrzno, Janie!

Stanęli jak wryci, przytuleni jedno do drugiego. Odzież ich była czarna, donaszali bowiem żałobę po ojcu. Dziewczyna, zbyt wątła jak na lat dwadzieścia, wyglądała nędznie; niosła ona jedną ręką mały pakunek, drugiej zaś uczeplił się pięcioletni braciszek; za nią starszy brat w pełnym rozkwicie lat szesnastu, stał ze zwieszonymi rękami.

Po chwili milczenia, dziewczyna rzekła:

— To mi magazyn!

Był to Magazyn Nowości na rogu ulic Micho-dière i Neuve-Saint-Augustin, którego wystawy przedstawiały się jaskrawo w łagodny, błydy październikowy poranek. Wybiła ósma godzina u św. Rocha; na chodnikach ukazywał się tylko poranny Paryż: urzędnicy dążący do biur i gosposie uwijające się po sklepach. Przede drzwiami, dwaj subiekci stojąc na drabinach, rozwieszali wełniane materye, podczas kiedy w oknie, od ulicy Neuve-Saint-Augustin, inny subiekt, klęcząc obrócony plecami do sklepu, delikatnie układał w fałdy sztukę materyi niebieskiej. Magazyn pusty jeszcze, bez kupujących, gdzie miejscowy personel schodził się dopiero, huczał wewnątrz jak budzący się ul pszczoł.

— Do licha!—powiedział Jan — co w porównaniu znaczy Valognes... twój sklep, nie był taki ładny.

Dyoniza potrząsnęła głową. Przepędziła ona tam dwa lata, u Cornaille'a, pierwszego kupca nowości w mieście i ten magazyn niespodzianie napotkany, ten dom ogromny—w jej oczach przepęłniał jej serce, przykuł ją do miejsca zdziwioną, rozciekawioną, zapominającą o świecie całym.

Od strony wychodzącej na plac Gaillon, wysokie szklane drzwi, całe w ozdobach złożonych, sięgały aż do antresoli. Dwie postacie allegoryczne: kobiety uśmiechnięte z szyją obnażoną, rozwijały szyld:

„Au Bonheur des Dames”

Potem okna się zagłębiały, szły wzdłuż ulicy Neuve-Saint-Augustin, gdzie zajmowały nietylko narożny dom, lecz jeszcze cztery: dwa na lewo i dwa na prawo—niedawno kupione i urządzone. Zdawało jej się, że nie ma końca tej perspektywie, tym wystawom parterowym i matowym oknom w antresolach, po za którymi odbywa się cały ruch kantorowy. Na górze, panna ubrana w jedwabie, temperowała ołówek, podczas kiedy po za nią, dwie inne rozkładały okrycia aksamitne.

— Au Bonheur des Dames, — przeczytał Jan z uśmiechem roztkliwionym pięknego młodzieniaszka, który już miał jedno przejście z kobietą w Valognes.—Jakie to ładne i jak musi przyciągać ludzi!

Lecz Dyoniza stała wpatrzona przed wystawą drzwi środkowych.

Tam na ulicy, na chodniku nawet, rozłożone były tanie towary, wabiące klientelę z pomiędzy przechodzących kobiet. Z antresoli zwieszały się jak flagi, sztuki wełnianych materyj i sukna, merynosów, szewiotów, baj. Kolory ich nijakie, szaro-szyfrowe, niebiesko-morskie, zielono-oliwkowe, opatrzone były ogromnemi etykietami. — Obok przy progu wisiały sznury futer, pociętych na wążkie pasy do obszywania sukien: popielice, śnieżne brzuszki łabędzie, szeregi królików, imitacje gronostai i sztuczne kuny. Na dole zaś

w wązkich przegrodach, na stołach, pomiędzy sto-
sami próbek materyj, ogromna ilość wyrobów
pończosznich, sprzedawanych za bezcen: rękawiczki i chusteczki wełniane robione na drutach
kapturki, kaftaniki—cała wystawa zimowa w ja-
skrawych kolorach, cieniowanych w paski, w czer-
wone rzuciki. Dyoniza zobaczyła tartan po czter-
dzieści pięć centymów i mitenki po pięć sous. —
Było to ogromne jarmarczne wyładowanie towa-
rów, które zdawały się tak przepelniać magazyn,
że je wyrzucał niejako na ulicę.

Stryjaszek Baudu, poszedł w zapomnienie.
Nawet Pépé, nie puszczający ręki siostry, szeroko roztwierał oczy. Powóz jakiś zmusił wszyst-
kich troje do usunięcia się; skierowali się więc
ku ulicy Neuve-Saint-Augustin, to postępując
wzdłuż okien, to zatrzymując się przed każdą
wystawą. Najpierw przyciągnęło ich oczy pewne
skomplikowane urządzenie: oto u góry, parasole
były tak ustawione ku sobie, że składały jakby
wiązanie dachu wiejskiej chaty, pod spodem, jedwa-
bne pończochy, zawieszane na żelaznych prętach,
ukazywały zaokrąglony profil łydki, jedne w bu-
kiecikiróz, drugie w rozmaite cienie, czarne ażuro-
we, czerwone z klinami haftowanymi, cieliste jedwa-
bne, tak miękkie w dotknięciu, jak skóra blondynki,
nakoniec na suknie etazerki leżały, syste-
matycznie rozłożone rękawiczki z wyciągniętymi
palcami, z wązką dłonią, jak u byzantyjskiej
dziewicy. Wszystko to mające wdzięk sztywny

i jakby nierozwinięty przedmiotów kobiecej toalety, które nie były jeszcze noszone. Lecz najdłużej ich zatrzymało ostatnie okno: — była to wystawa jedwabi, atłasów i aksamitów; tam jakby w giętkiej i dźwięcznej gamie, rozwijały się najdelikatniejsze odcienia kwiatów: na wierzchołku aksamity mocno czarne i białe, jak zsiadłe mleko; niżej, atłasy różowe, niebieskie oraz inne jaszkrawe, stopniowo przechodzące do najdelikatniejszych barw; jeszcze niżej jedwabie wszystkich kolorów tęczy, sztuki z których jedne ułożone były jakby w pukle, inne sfałdowane jak na wygiętej postaci, która stała się jakby żywą pod palcami subjekta; a pomiędzy każdym motywem, pomiędzy każdą kolorową frazą wystawy, przebiegał jakby skromny akompaniament, lekki sznur ularu koloru *crème*. Tam to po obu stronach mieściły się kolosalne stosy jedwabi dwójki rodzaju, na wyrób których posiadał ten handlowy dom wyłączne prawo: *Paris Bonheur* i *Cuir d'Or*, dwa artykuły wyjątkowe, które miały zrobić przewrót w handlu nowości.

— Ach, ta faille po pięć franków sześćdziesiąt centymów — zawołała Dyoniza, stając ze zdumieniem.

Jan zaczynając nudzić się, zapytał przechodnia:
— Gdzie jest ulica Michodière?

Gdy mu wskazano pierwszą na prawo, wszyscy troje wrócili nazad okrążając magazyn; — lecz wchodząc na ulicę, Dyoniza znowu stanęła przy

oknie z okryciami damskimi. U Cornaille'a w Valognes, specjalnie zajmowała się szyciem okryć, lecz nigdy nie widziała nic podobnego; dla tego zachwyty przykuł ją do miejsca. W głębi widać było wielki szal z koronki Bruges, znacznej ceny, stanowiący brzeg zasłony ołtarzowej, z dwoma skrzydłami, rudawej białości; falbany z point d'Alençon, ułożone w girlandy; potem od dołu do góry, rozwinięte koronki: malines, valenciennes, aplikacye brukselskie, points de Venise; wszystko to wyglądało jak pokład śniegu. Z prawej i lewej strony, wznosiły się ciemne kolumny z postawów sukna, pogłębiając jeszcze wewnątrz tego przybytku. Okrycia znajdowały się wewnątrz tej kaplicy, wzniesionej dla oddawania czoi wdziękom kobiecym: środek zajmował przedmiot najwyższej ceny: płaszcz aksamitny, obsyty srebrzystymi lisami; obok była z jednej strony rotunda jedwabna podszyta popielicami, z drugiej paletot sukienny, garnirowany kapłoniemi piórami; nakoniec były też narzutki balowe z białego kaszmiru, z białego matelassé, obszyte puchem łabędzim lub szenillą.

Mogły się tam zadowolnić wszelkie kaprysy, począwszy od narzutek po dwadzieścia dziewięć franków, aż do aksamitnego płaszcza, cenionego na tysiąc osiemset franków. Zaokrąglone szyje manekinów, wydymały materję, a przesadna wydatność bioder, czyniła kibić szczuplejszą. W miejscu głowy, była wielka etykieta, przypięta szpil-

ką do czerwonej bai kołnierza. Lustra po obu stronach witryny, przez wyrachowane refleksa, odbijały i pomnażały przedmioty bez końca zapelniając ulicę temi pięknemi paniami do sprzedania, które zamiast głów, miały wypisaną cenę.

— Przepyszne są!—powiedział Jan, nieumiejąc inaczej wyrazić swego wrażenia.

Nagle on sam stanął z otwartemi ustami: Widok tego przepychu kobiecego zarumienił mu twarz z przyjemności. Posiadał on piękność dziewczęcą, z której zdawało się że okradł swoją siostrę: miał płeć białoróżową, włosy rude i kędzierzawe, oczy i usta wilgotne i tkliwe. Stojąca przy nim zdumiona Dyoniza, wydawała się jeszcze szczuplejszą, ze swą długą twarzą i zbyt wielkimi usty, z cerą już zwiędłą i płowym włosem. — Pépé również mający ten jasny kolor włosów, właściwy dzieciom, coraz bliżej tulił się do niej, jakby porwany nagłą potrzebą pieszczoty, zmieszany i zachwycony pięknemi paniami z poza szyby. Tak niezwykle i tak ładnie wyglądała na bruku ta trójka blondynów, biedno i czarno ubranych, ta smutna dziewczyna, pomiędzy ładnym dzieckiem i chłopcem prześlicznym, że przechodnie obracali się z uśmiechem.

Od niejakiegoś czasu, jakiś gruby, siwy mężczyzna, z szeroką żółtą twarzą, z progu sklepu, po drugiej stronie ulicy, patrzył wciąż na nich.— Stał on z oczami krwią nabiegłemi i wykrzywionemi usty, jakby zbity z tropu przeciwległą

wystawą Magazynu Nowości. Pojawienie się dziewczyny z dwoma braćmi zdawało się go dobijać. Co też robi tych dwoje gapiów, stojących z otwartą gębą przed szarlatańską parodyą?

— A stryj?—zapytała nagle dziewczyna, jakby ze snu zbudzona.

— Jesteśmy na ulicy Michodière — odrzekł Jan—więc musi tu gdzieś mieszkać.

Podnieśli głowę, odwrócili się i naprzeciwko po nad tym grubym człowiekiem, ujrzeni zielony szyld, na którym napisane było złotymi literami, spłowiałemi od deszczu: *Vieil Elboeuf, sukna i flanele. Baudu, sukcesor Hauchecorne'a.*

Dom malowany zrudziałą ze starości farbą, licho wyglądający obok wielkich domów, z czasu Ludwika XIV-go, miał z frontu tylko trzy okna; były one kwadratowe, bez żaluzji, ozdobione żelazną kratką, składającą się z dwóch skrzyżowanych sztab. Lecz w tym ubogim domu, najbardziej uderzył oczy Dyonizy, oślepione blaskiem Magazynu Nowości, sklep na parterze, jakby zmiażdżony sufitem, z antresolą bardzo niską, z półokrągłemi, więziennemi okienkami. W odrzwiach takiegoż zielonkawego koloru jak szyld, na lewo i na prawo, mieściły się duże szyby czarne i zapyłone, przez które rozeznąć można było leżące jedne na drugich sztuki materij. Drzwi otwarte zdawały się prowadzić do jakichś wilgotnych ciemności piwnicznych.

— To tam — rzekł Jan.

— A więc idźmy — zawyrokowała Dyoniza. —
Chodź Pépé.

Wszyscy troje byli nieco zmieszani, załęknieni. Gdy ojciec ich umarł, porwany gorączką która przed miesiącem zabrała im matkę, stryj Baudu, pod wrażeniem tej podwójnej załoby, napisał do synowicy: że się zawsze dla niej kącik u niego znajdzie, gdyby zapagnęła szukać losu w Paryżu. Ale od tego czasu upłynął blisko rok i dziewczyna obecnie żałowała, że opuściła tak lekko-myślnie Valognes, nieuprzedziwszy o tem stryja. Nie znał on ich wcale, gdyż niecdwiedzał rodzinnych stron ani razu, odkąd młodym chłopcem, udał się do Paryża, gdzie został subiektem u sukienika Hauchecorne'a, z którego córką później się ożenił.

— Czy tu mieszka pan Baudu? — odważyła się Dyoniza spytać nakoniec grubego jegomości, który się im wciąż przypatrywał.

— Ja nim jestem—odpowiedział on.

Dyoniza mocno zaczerwieniwszy się wybąkała:

— A! tem lepiej. Jestem Dyoniza... a to jest i Pépé. Przybyliśmy nakoniec, stryju.

Baudu zdawał się osłupiały: jego ogromne, czerwone oczy zaczęły błyskać na żółtej twarzy, powolne słowa plątały się. Widocznie był o tyśiąc mil od tej rodziny, która mu spadła, jak dachówka na głowę.

— Jakto! Jakto! przyjechaliście tu...—powtarzał kilka razy. — Przecież byliście w Valognes! Dlaczego nie jesteście już w Valognes?

Dyoniza swym słodkim i trochę drżącym głosem, musiała go objaśnić. Po śmierci ojca, który wszystko stracił na farbiarni, pozostała matka dwojga dzieci. To co zarabiała u Cornaille'a, nie wystarczało na wyżywienie ich trojga. Jan pracował u hebenisty, naprawiającego starożytnie meble, lecz bez żadnej zapłaty; nabierał za to smaku do starożytności i rzeźbił z drzewa figurki. Pewnego dnia znalazłszy kawałek kości słoniowej, dla zabawki, zrobił główkę którą jakiś przejezdny pan zobaczył i on to właśnie namówił ich do opuszczenia Valognes i polecił Jana jednemu z paryzkich artystów, rzeźbiących kość słoniową.

— Otóż, mój stryju, od jutra Jan rozpocznie naukę u nowego patrona, który nie wymaga odemnie pieniędzy, nawet mu da mieszkanie i pożywienie. Zdawało mi się, że ja i Pépé damy sobie zawsze radę. Nieszczęśliwsi być nie możemy, jak tam w Valognes.

Przemilczała figle miłosne Jana, jego listy pisane do panienki z wyższej sfery, zamieszkałej w mieście, całusy zamieniane przez mur, słowem skandal, który ją zmusił do wyjazdu. Przybyła do Paryża, by czuwać nad bratem, bo ją przejmował macierzyńskim strachem, tak piękny i we-

soły młodzieniec, którego wszystkie kobiety uwielbiały.

Stryj Baudu, nie mógł przyjść do siebie. Wciąż pdwtarzał pytania. Jednakże słysząc ją tak mówiącą o braciach, zaczął mówić do niej ty.

— A więc ojciec nic wam nie zostawił? Zdawało mi się, iż musi być jeszcze trochę grosza. Ach! zawsze mu odradzałem w listach tę farbiarnię! Poczciwe miał serce, ale ani zdźbła głowy! I tyś została z tymi malcami na karku i musiałaś ich żywić!

Jego żółciowa twarz rozjaśniła się, nie miał już tych oczu zakrwawionych, jakimi patrzył na Magazyn Nowości. Nagle spostrzegł, że zagradza sobą drzwi.

— Chodźcież już, kiedy jesteście. Wejdźcie, zawsze to lepsze, niż gapienie się na głupstwa.

Spojrzawszy z gniewną miną po raz ostatni na wystawę z przeciwka, uwolnił dla dzieci wejście, wchodząc pierwszy do sklepu, zawołał na żonę i córkę:

— Elzbioto! Genowefo! chodźcie tu, mamy gości.

Lecz Dyoniza i chłopcy zatrzymali się pośród ciemności, panujących w sklepie. Olśnieni światłem ulicy, mrużyli źrenice, jak na progu nory nieznaney, próbując ziemię nogami, bojąc się instynktowo jakich zdradliwych wschodów. Zbliżeni jeszcze bardziej tą nieokreśloną obawą, przytulili się bliżej do siebie, malec czepiał się i trzymał spódnicy siostry, a starszy postępował za nią;

weszli nakoniec uśmiechnięci z wdziękiem i zakłopotaniem. Jasność poranku uwydatniała ich czarną odzież i rzucała złote blaski na płowe ich włosy.

— Wchodzić, wchodzić—powtarzał Baudu.

W krótkich słowach objaśnił żonę i córkę. — Pierwsza z nich, była to mała kobieta, trawiona anemią; wszystko w niej było białe: włosy, oczy i usta. Na Genowefie, w której wyrodzenie się matki jeszcze się spotęgowało, znać było niemoc i bezbarwność rośliny hodowanej w cieniu. Jednakże pyszne i gęste czarne włosy, jakby cudem wyrosłe z tak biednego ciała, nadawały jej pewien smutny wdzięk.

— Prosimy—powiedziały obie kobiety. -- Cieszy nas wasze przybycie.

Posadziły Dyonizę za kontuarem, Pépé wdrapał się zaraz na kolana siostry, Jan oparty o ścianę, stał obok niej. Starali się ciągle być blisko siebie i rozglądali się po sklepie, oswoiwszy się z ciemnością. Dopiero teraz mogli widzieć sufit niski i zadymiony, kontuary dębowe, przez czas wypolerowane, odwieczne i mocno okute przedziałki z towarem sięgającym aż do pułapu; zapach sukna i farby, cierpka woń chemicznych wytworów, zdawały się zwiększone wilgocią z podłogi. W głębi dwaj subiekci i panna sklepowa, układali sztuki flaneli.

— Możeby się ten mały panicz posilił czem?—zapytała pani Baudu, uśmiechając się do Pépé.

— O, dziękuję—odpowiedziała Dyoniza—napi-
liśmy się mleka w kawiarni, naprzeciw dworca
kolei.

Widząc, że się Genowefa przypatruje zawi-
niątku, leżącemu na ziemi, dodała :

— Zostawiliśmy walizę na stacyi.

Rumieniła się, pojmując, że w ten sposób nie
przybywa do nikogo. Jeszcze w wagonie, skoro
tylko pociąg wyruszył z Valognes, uczuła żal
i przestach; dlatego pozostawiła walizę i zapro-
wadziła dzieci na śniadanie.

Nagle odezwał się Baudu:

— Pogadajmy teraz krótko a zwięźle. Pisałem
wprawdzie do ciebie, ale już przeszło rok temu,
a w ciągu tego roku moje dziecko, interesa wcale
się nie poprawiły.

Zamilkł, jakby dławiony wzruszeniem, którego
niechciał okazać. Pani Baudu i Genowefa, z miną
zrezygnowaną, spuściły wzrok ku ziemi.

— O, to tylko stan przejściowy, jestem spokoj-
ny. Jednakże zmniejszyłem swój personel, mamy
teraz tylko trzy osoby i ciężkie czasy niepozwa-
lają na przyjęcie czwartej. Dlatego nie mogę się
pomieścić u siebie, moje dziecko, chociaż o tem
pisałem.

Dyoniza słuchała go przerażona, blada. On zaś
dodał jeszcze:

— Na nicby się to nie zdało, ani nam, ani tobie.

-- Dobrze, stryju; — wymówiła z trudnością—
postaram się radzić sobie sama.

Państwo Baudu nie byli to źli ludzie, lecz się uskarżali, że los im nie sprzyjał. Podczas kiedy się w handlu powodziło, musieli wychowywać pięciu chłopców, z których trzech umarli w dwudziestym roku życia, czwarty źle się pokierował, a piąty niedawno odpłynął z wojskiem do Meksyku, jako kapitan. Pozostała im tylko Genowefa. Lecz tak liczna rodzina, wymagała znacznych wydatków; Baudu dobił się jeszcze, kupiwszy w Rambouillet, w rodzinnej stronie swego teścia, ogromne drewniane domostwo; ztąd to pochodził kwaśny humor starego kupca, prawego aż do manii.

. — Trzeba było uprzedzić—ciągnął dalej, coraz bardziej rozdrażniony własną szorstkością.—Mogłaś do mnie napisać, byłbym odpowiedział, żebyś się nieruszała z miejsca.—Na wiadomość o śmierci twego ojca, odezwałem się z tem, co się zwykle w takich razach mówi; ale mi tu spadasz tak niespodzianie... To mię trochę wprowadza w kłopot...

Podniósł głos, bo mu to sprawiało ulgę; żona i córka milczały ze spuszczonei ku ziemi oczami, jako osoby uległe, niepozwalające sobie nigdy mieszać się do interesów. Słuchając tych wykrzyków, Jan bladł a Dyoniza przyciskała do piersi przelęknionego Pépé i dwie ogromne łzy spłynęły jej z oczu.

— A więc dobrze, mój stryju, zaraz się ztąd oddalimy.

Opamiętał się i po krótkiej chwili kłopotliwego milczenia, rzekł gderliwie:

— Ależ ja was nie wypędzam za drzwi; kiedyście przyszli, przenocujcie tu... a potem zobaczymy...

Pani Baudu i Genowefa, zrozumiały z rzuconego na nie wejrzenia, iż mogą tę rzecz załatwić.— Wszystko dało się jakoś ułożyć. O Jana nie było się co troszczyć, gdyż miał pójść na aplikację. Co się tyczy Pépé, będzie mu doskonale u pani Gras, starej jejmości, która najmując obszerny lokal parterowy, przy ulicy Orties, przyjmowała dzieci do lat dziesięciu, za czterdzieści franków miesięcznie. Dyoniza powiedziała, że ma czem opłacić pierwszy miesiąc. Pozostawało jej samej gdzieś się umieścić; lecz dla niej z łatwością znajdzie się miejsce w tej samej dzielnicy.

— Zdaje się—powiedziała Genowefa — że Vingard szuka panny sklepowej.

— Ach! prawda!—wykrzyknął Baudu. — Pójdziemy zapytać go po śniadaniu. Trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Nikt z kupujących nie przerwał swem przyjściem tej familijnej narady; sklep pozostawał ciemny i pusty. W głębi dwaj subiekci i panna kończyli zajęcie, szepcząc pomiędzy sobą. Po chwili jednakże zjawiły się trzy panie. Dyoniza jakiś czas pozostała sama. Ucałowała Pépé ze zbolełym sercem, na myśl rozstania. Dziecko pieszczotliwe jak kotek, chowało główkę, nic nie

mówiąc. Skoro pani Baudu z córką powróciły, przyznały, że jest bardzo grzeczny. Dyoniza zapewniała, iż nigdy żadnych hałasów niewyprowadzi, że zwykle całymi dniami cicho siedzi, zadawalnając się pieśczołą. Az do śniadania, bawiły się we trzy rozmową: o dzieciach, o gospodarstwie, o życiu w Paryżu i na prowincyi; mówiły frazesami krótkimi i pustymi, jak zwykle krewni, kiedy są zakłopotani tem, że się z sobą nie znają. Jan stał przed sklepem, zajęty ruchem ulicznym, uśmiechając się do przechodzących ładnych dziewcząt.

O dziesiątej godzinie weszła sługa. Zazwyczaj stół się nakrywał dla p. Baudu, Genowefy i starszego subiekta.

O jedenastej zaś, powtórnie dla pani Baudu, drugiego subiekta i panny.

— Prosimy na zupełę — wykrzyknął sukiennik, zwracając się do siostrzenicy.

Skoro się wszyscy rozsiedli dokoła stołu w ciasnym jadalnym pokoju za sklepem, zawołał na opóźniającego się subiekta:

— Colomban!

Młodzieniec tłumaczył swoje opóźnienie, chciał bowiem skończyć składanie flaneli. Był to tęgi chłopiec lat dwudziestu pięciu, ociężały i przebiegły. Miał poczciwą twarz, usta szerokie miękkie i chytry wyraz w oczach.

— Co u diabła! przecież na wszystko jest czas — powiedział Baudu, który wygodnie roz-

siadłszy się, krajał kawał zimnej cielęciny z przecznością i zręcznością pana swej czeladzi, wążąc okiem co do grana cienkie plasterki. Obdzeliwszy wszystkich, pokrajał potem chleb. Dyoniza posadziła Pépé przy sobie, aby się przyzwocie zachowywał przy jedzeniu.

Ten ciemny jadalny pokój, wywierał na niej przykre wrażenie, przytłaczał i gnębił przyzwyczajoną do rozległych i jasnych pokoi na prowincyi. Jedyne okno, wychodziło na wewnętrzne podwórko, łączące się z ulicą ciemnem przejściem; podwórko to wilgotne, zapowietrzzone, podobne było do dna studni, do której wpadał punkcik zamglonego światła. W zimie trzeba było od rana do wieczora palić gaz w jadalni, a gdy ją przestawano oświetlać, była jeszcze smutniejszą. Dyoniza potrzebowała niejakiego czasu, zanim mogła dojrzeć kawałki na talerzu.

— To mi zuch! tęgi ma apetyt, powiedział Bandu, zauważywszy, że Jan spożył już cielęcinę. Jeżeli tak pracuje jak je, będzie z niego dzielny robotnik. Ale ty, moje dziewczę, nie jesz? Powiedz mi, kiedy teraz możemy pogawędzić, dla czego nie poszłaś za mąż w Valognes?

Dyoniza opuściła szklanekę, którą do ust niosła.

— Ależ mój stryju, czy ja mogę iść za mąż! nie zastanowiłeś się... A malcy?

Roześmiała się w końcu, tak jej się ta myśl wydała zabawną.

— Któżby mnie chciał nie mającą grosza, ma-
łą jak skowronek i nieładną do tego? Nigdy, ni-
gdy nie pójdeż zamąż, dosyć mi już dwojga dzieci,
rzekła.

— Nie masz racyi, odezwał się stryj, kobieta
zawsze potrzebuje męskiej opieki. Gdybyś była
znalazła poczciwego chłopca, nie spadłabyś z brać-
mi na bruk Paryża, jak cygańska rodzina.

Umilkł, ażeby znów zająć się sprawiedliwie
i oszczędnie podziałem półmiska kartofli ze słon-
ną, który sługa wniosła. Potem wskazując łyżką
na Genowefę i Colombana, powiedział:

— Patrz! ci dwoje na wiosnę już będą pożenie-
ni, jeżeli nam zima dopisze.

Był to patryarchalny zwyczaj tego domu han-
dlowego. Fundator Arystydes Finet, wydał swą
córkę Dezyderyę, za starszego subiekta Hau-
checorne'a; on zaś, sam Baudu, który wylądował
na ulicy Michodière z siedmiu frankami w kiesze-
ni, ożenił się z córką Hauchecorne'a, Elżbietą;
teraz oczekiwał chwili, aby swoją córkę Genowe-
fę połączyć z Colomban'em, skoro tylko interesa
się poprawią. Jeżeli zaś opóźniał od trzech lat
zamierzone małżeństwo, to tylko przez skrupuły,
przez upór, biorący źródło w poczciwości. Obją-
wszy interes w stanie kwitnącym, nie chciał aby
przeszedł w ręce zięcia ze zmniejszoną klientelą
i wątpliwymi obrotami.

Baudu prowadził dalej opowiadanie. Przedsta-
wił Colomban'a jako pochodzącego z Rambouillet,

zarówno jak teść jego, zachodziło nawet pomiędzy nimi dalekie pokrewieństwo.

— Dzielny z niego pracownik i przez dziesięć lat dosyć się nabiegał koło sklepu, godnie zasłużył na swój stopień. Zresztą nie jest on pierwszym lepszym, ojciec jego był weterynarzem, znany w całym okręgu Sekwany i Oazy; był to artysta w swoim zawodzie, ale taki smakosz że przejada wszystko co zarobi.

Na zakończenie rzekł sukiennik.

— Dzięki Bogu, jeżeli ojciec pije i hula, za to syn nauczył się tu cenić pieniądze.

Podczas gdy on mówił, Dyoniza badała Genowefę i Colombana. Siedzieli przy stole obok siebie; lecz byli bardzo spokojni, nie rumienili się, nie uśmiechali. Od chwili wstąpienia do tego domu, młodzieniec ów liczył na to, że się tam ożeni. Przechodził wszystkie stopnie: aplikanta, sprzedającego, pobierającego pensyę, nakoniec dopuszczony został do zaufania i uciech rodzinnych, a wszystko cierpliwie, prowadząc życie regularne jak zegarek i patrząc na Genowefę, jako na interes doskonały i uczciwy. Skutkiem pewności, że ją posiadzie, nie mógł jej pragnąć; ona zaś także przywykła go kochać, lecz z całą powagą swego powściągliwego usposobienia i z głęboką namiętnością, której się sama nie domyślała, wśród życia jednostajnego i poziomego.

— Jeżeli się ludzie sobie podobają nawzajem i jeżeli mogą .. powiedziała Dyoniza z uśmiechem,

zdawało się jej bowiem, że wypada sprawić im przyjemność.

— Zawsze się na tem kończy, rzekł przezuwając powoli Colomban, który dotąd nie wymówił ani słowa.

Genowefa rzuciwszy na niego długie spojrzenie, dodała:

— Trzeba się tylko porozumieć, a potem idzie to samo przez się.

Ich miłość wzrosła w tym sklepie starego Paryża. Była to niejako piwniczna roślina. Od dziesięciu lat znała jego jednego, dnie całe spędzała przy nim, po za postawami sukna, wśród ciemności sklepowych; rano i wieczór, oboje znajdowali się tuż obok siebie: przy stole w ciasnej jadalni, gdzie chłodno było jak w studni. Nawet na wsi pod cieniem drzew nie mogli by tak być ukryci i samotni. Chyba tylko zwątpienie, obawa zazdrośna, mogły to odkryć dziewczynie, iż się oddała całkiem i na zawsze, pośród tej zdradliwej ciemności, jedynie z powodu pustki w sercu i głowie.

Dyonizie wydawało się, iż spostrzega jakiś rosnący niepokój w wejrzeniu Genowefy na Colomban'a, powiedziała więc uprzejmie:

— Pomiędzy kochającymi się, porozumienie zawsze jest łatwe.

Baudu doglądał stołu z powagą. Rozdzielił cienkie plasterki sera i dla uczczenia krewnych, zażądał drugich wet, to jest słoika konfitur po-

rzeczkowych. Hojność ta mocno zadziwiła Colomban'a Pépé dotąd greczny, źle się jakoś zachował przy konfiturach. Jan uważnie słuchający rozmowy o małżeństwie, przypatrywał się kuzynce Genowefie, którą znajdował nadto miękką i bladą. W duchu porównywał ją z białym królikiem o czarnych uszkach i czerwonych oczkach.

— Dosyć tej gadaniny, ustąpmy miejsca innym! zakończył sukiennik, dając znak do wstania od stołu. Jeżeli się sobie pozwala coś nadzwyczajnego, nie idzie za tem, aby wszystkiego nadużywać.

Pani Baudu, drugi subiekt i panna przyszli zająć z kolei miejsce przy stole. Dyoniza znowu pozostała sama przy drzwiach, oczekując chwili, kiedy stryj będzie ją mógł zaprowadzić do Vincard'a; Pépé bawił się u jej nóg, a Jan rozpoczął na nowo swe obserwacye przy progu. Przez całą godzinę przypatrywała się, co się w koło niej dzieje. Od czasu do czasu wchodziła klientka: zjawiała się naprzód jakaś dama, potem dwie inne. Sklep przepelniony był zapachem starości i półświatłem, wśród których staroświecki handel naiwny i prosty, zdawał się płakać nad swem opuszczeniem. Za to po drugiej stronie ulicy, roznamiętniał ją widok Magazynu Nowości i wystawy, którą widziała przez otwarte drzwi. Niebo było zachmurzone, deszczyk orzeźwiał powietrze pomimo pory roku. Pośród jasności dnia, w któ-

rzym błyszczał jakby pył słoneczny, wielki magazyn, wrzał życiem i ruchem.

Dyonizie wydawało się że widzi maszynę działającą pod silnem ciśnieniem i której ruch sięga aż do wystawy. Nie były to już zimne szyby jak rano; teraz zdawały się jakby ogrzane i drżące od ruchu wewnętrznego. Ludzie się im przyglądali, kobiety dusiły się tłocząc, otaczał je tłum grubiański, dyszący pożądliwością. Materye zdawały się nabierać życia pod wpływem roznamiętnionych oczu; koronki drżały, opadały i zasłaniały tajemniczo głębie magazynu; nawet postawy sukna, grube i kwadratowe, oddychały i wydawały woń kuszącą. Paltoty jeszcze więcej odymały się na manekinach, które nabierały duszy; a wielki ów płaszcz aksamitny, wypełniał się, giętki i ciepły, jakby na ramionach z ciała, z pulsacją szyi i poruszeniem bioder. Lecz gorąco jak z huty, płonące w magazynie, pochodziło przede wszystkim od sprzedaży, od potracania się przy kontuarach, a ztamtąd wychodziło na zewnątrz, po za mury. Było tam słychać ciągły szmer, jakby maszyny w ruchu, zbiegowisko klientek, skupionych przed półkami, odurzonych widokiem tyłu towarów i przerzucanych potem do kasy. — Wszystko to się odbywało prawidłowo, zorganizowane było ze ścisłą akuratnością mechaniczną; całe roje kobiet przechodziły gnane siłą i loiką kólek w maszynie.

Dyoniza od rana ulegała pokusie. Ten magazyn tak rozległy, do którego w ciągu godziny, więcej osób weszło, niż u Cornaille'a w pół roku, odurzał ją i pociągał. Obok chęci wejścia tam, czuła jakiś nieokreślony przestach, który jeszcze bardziej ją pociągał. Jednocześnie sklep stryja, sprawiał na niej przykre wrażenie; czuła wzdarcę niewyrozumowaną, odrazę instynktową, do tej lodowatej nory staroświeckiego handlu. Doznane wrażenia: wejście nieśmiałe, kwaśne przyjęcie przez krewnych, smutne, jakby więzienne śniadanie, samotne oczekiwanie w tym martwym, konającym domu, wszystko to się złożyło na niemy protest i silne pożądanie życia i światła. Pomimo dobrego serca, oczy jej zwracały się ku Magazynowi Nowości, jak gdyby się w niej odezwała panna sklepowa, czująca potrzebę rozgrzania się, przy płomieniu tego wielkiego ruchu.

— Tam przynajmniej są ludzie, aż miło patrzeć! rzekła mimowoli.

Lecz zaraz pożałowała tego, spostrzegłszy obie Baudu przy sobie; sama pani, która oddawna skończyła śniadanie, stała, biała jak zawsze, kierując białe oczy ku potworowi, i pomimo rezygnacyi, nie mogła go widzieć, dostrzegać go po drugiej stronie ulicy, ażeby niema rozpacznie zwilżała jej powiek. Co się tycze Genowefy, to z wzrastającym niepokojem uważała, iż Colomban, niepodejrzewając iż go śledzą, stał w za-

chwyceniu, z okiem wlepionem w panny sprzedające okrycia, których salon można było widzieć przez szyby antresoli. Baudu z żółciowym wyrazem twarzy, mógł to tylko powiedzieć:

— Nie wszystko złoto, co się świeci. Cierpliwości!

Zacisnął usta, bojąc się wybuchnąć. Widocznie nowoprzybyli krewni, zwiększali przypływ oburzenia, który mu aż do gardła dochodził. Przez miłość własną, powstrzymywał się od wybuchów przy tych dzieciach, które dopiero dziś rano do niego przyjechały. Nakoniec zapanował nad sobą i odwrócił się, nie patrząc na ożywioną sprzedaż u przeciwnka.

— Idźmy teraz do Vinçard'a; miejsca są tak poszukiwane, że jutro może być zapóźno.

Przed wyjściem zalecił, aby drugi subiekt, udał się na kolej po walizę Dyonizy. Pani Baudu, pod opieką której pozostać miał Pépé, powiedziała, iż skorzysta z wolnej chwili, aby zaprowadzić malca na ulicę Orties do pani Gras i umówi się z nią. Jan obiecał siostrze, że nie ruszy się ze sklepu.

— Za parę minut będziemy na miejscu, powiedział Baudu, przechodząc na ulicę Gaillon z synowicą. Vinçard'a specjalnością są jedwabie i jakos mu dotąd idzie. O! ma i on kłopoty, jak każdy; ale to cięta sztuczka, umie związać koniec z końcem, bo szkaradny z niego sknera. Zdaje

mi się jednak, że chce handel porzucić z powodu reumatyzmu.

Magazyn ów był na ulicy Neuve-des-Petits-Champs, blisko passażu Choiseul. Był to sklep czysty i jasny, urządzony ze zbytkiem nowoczesnym, ale mały i skąpo w towar zaopatrzony. Baudu i Dyoniza, zastali Vinçard'a, naradzającego się z dwoma panami.

— Nie przerywaj rozmowy! krzyknął sukiennik. Nic pilnego, poczekamy.

Cofnąwszy się dyskretnie ku drzwiom, szepnęła do ucha synowicy:

— Ten chudy, jest drugim subiektem przy jedwabiach w Magazynie Nowości, a ten tłusty, to fabrykant z Lyonu.

Dyoniza zrozumiała, że Vinçard usiłuje sprzedać swój sklep panu Robineau, subiektowi z Magazynu Nowości. Dawał on słowo honoru, z łatwością człowieka, który nie przywiązuje wagi do przysięg. Według niego handel ten był złym interesem. W pełnym rozkwicie zdrowia, jęczał, uskarżając się na przekłete cierpienia, które go zmuszają do wypuszczenia z rąk fortuny. Lecz Robineau, nerwowy i niespokojny, przerywał mu niecierpliwie: znał on dobrze kryzys, jakie przechodziły obecnie jedwabie, materye, zapewniał że ta specjalność jest już zabita przez sąsiedztwo Magazynu Nowości. Vinçard rozgniony, podniósł głos, mówiąc:

— Do diabła! upadłość tego głupca Vabre, była fatalną. Żona go objadała... Ale my tu jesteśmy o pięćset metrów, podczas, kiedy Vabre, był z nim drzwi w drzwi.

Tu Gaujean, fabrykant jedwabi, wmięszal się do rozmowy. Głosy przycichły: oskarżał on wielkie magazyny, że zabijają fabrykację francuzką; trzech, czterech ludzi stanowi prawo; jak potentaci panują oni na rynku. Staral się dać do zrozumienia, że jedyną bronią, jest popierać drobny handel, a szczególnie specyalności, mające przyszłość przed sobą. Obiecywał też panu Robineau duży kredyt.

— Patrzcie jak się Magazyn Nowości względem was zachowuje! wciąż powtarzał. Nic sobie nie robią z oddawanych im usług. Są to maszyny do wyzyskiwania ludzi. Posadę pierwszego subiekta obiecano panu, tymczasem Bouthemont przybysz, nie mający nic, coby za nim przemawiało, od razu ją zajął.

Rana, jaką mu ta niesprawiedliwość zadała, krwawiła się jeszcze. Jednakże namyslał się, czy coś przedsięwziąć na własną rękę. Tłomaczył się, że nie rozporządza własnymi pieniędzmi tylko żony, która odziedziczyła sześćdziesiąt tysięcy franków; że ma zatem skrupuły i wolałby dać sobie uciąć obie ręce, niż wprowadzić żonę w złe interesa.

— Nie, jeszcze się nie zdecydował, rzekł narreszoie. Pozostaw mi pan czas do namysłu, pomówimy jeszcze o tem.

— Jak się panu podoba, odrzekł Vinçard, ta-
jąc doznany zawód, pod dobroduszną miną. Nie
zależy mi na tej sprzedaży. Wierz mi pan, że
gdyby nie moje cierpienia...

Zwracając się na środek magazynu zapytał:

— Co rozkażesz, panie Baudu.

Sukiennik, który słuchał rozmowy tej jednym
uchem, przedstawił Dyonizę, opowiedział co uwa-
żał za potrzebne z jej historyi i dodał, że praco-
wała dwa lata na prowincyi.

— Ponieważ szukasz dobrej sklepowej, jak mi
mówiono... rzekł nareszcie.

Vinçard udał wielką rozpacz:

— A to prawdziwe nieszczęście! Prawda, szu-
kałem sklepowej przez cały tydzień; lecz nie ma
dwóch godzin jak już zgodziłem.

Zapanowało milczenie. Dyoniza wydawała się
zmieszaną. Wówczas Robineau, który przypa-
trywał się z zajęciem i ze współczuciem jej wą-
tłej postaci, powiedział:

— Wiem, iż u nas potrzebują kogoś do oddzia-
łu okryć.

Baudu nie mógł powstrzymać okrzyku zbola-
łego serca:

— U was! co to, to nie, przepraszam!

Lecz zaraz potem zdawał się zakłopotany
Dyoniza oblała się rumieńcem; nigdy się nie od-
wagę wejść do tego wielkiego magazynu, mówiła
sobie, ale sama myśl, dostania się tam, napędiała
ją dumą.

— Dla czego nie? ciągnął dalej Robineau zadziwiony, byłoby to pożądane dla panienki. Ja bym jej radził jutro rano przedstawić się pani Aurelii, pierwszej sklepowej. Co najgorszego stać się może to, że nie zostaniesz przyjętą.

Sukiennik dla ukrycia wewnętrznego wzburzenia, zapuścił się w czezą gadaninę, mówił, że zna panią Aurelię, a lepiej jeszcze jej męża Lhomme, kasyera, tłuściocha, z odciętą prawą ręką przez omnibus. Potem zwracając się nagle do Dyonizy, powiedział:

— Zresztą to jej rzecz, nie moja... Jest zupełnie wolną...

Wyszedł pożegnawszy trzech obecnych tam pań. Vingard odprowadził go aż do drzwi, powtarzając swe ubolewanie. Młoda dziewczyna stała na środku magazynu z przestraczem; pragnęła prosić subiekta o bliższe wyjaśnienie, ale nieodważywszy się na to, ukłoniła się i rzekła skromnie:

— Dziękuję panu, poczem wyszła.

Powracając Baudu, nie przemówił ani słowa do synowicy. Szedł prędko, jakby porwany myślami, zmuszając ją, aby biegła za nim. Na ulicy Michodière, prawie już miał wejść do siebie, kiedy sąsiad jego, kupiec stojący na progu, przywołał go znakiem do siebie. Dyoniza stanęła nieopodal.

— Co nowego, ojczy Bourras? zapytał sukiennik.

Bourras, był to starzec wielkiego wzrostu, z głową proroka, z długimi włosami i brodą, przenikliwe jego oczy wyglądały z pod brwi gęstych jak las. Sprzedawał on laski i parasole, przyjmował reparacje, rzeźbił nawet rączki, co mu w dzielnicy zjednało sławę artysty. Dyoniza rzuciła okiem na szybę sklepową, za którą parasole i laski stały szeregiem. Podniosła oczy w górę i została zdziwiona widokiem domu: była to rudera, zacieśniona pomiędzy Magazynem Nowości a wielkim pałacem z czasów Ludwika XIV. Wtłoczona niewiadomo jakim sposobem w tę ciasną szczelinę, ze swemi dwoma niskimi piętremi. Gdyby nie podpory z prawej i lewej strony, musiałyby się zawalić. Szyfer na jej dachu wykrzywił się i przegnił. Od frontu były dwa okna ze szparami w murze; dokoła długie zrudziałe plamy ciągnęły się po desce szyldu, nawpół spruchniałego.

— Wiesz pan, że pisał do właściciela tego domu, proponując mu kupno; powiedział Bourras, wpatrując się bystro w sukiennika, ognistym swem okiem.

Baudu jeszcze więcej pobladł i zwiesił głowę. Dwaj kupcy stali naprzeciw siebie w głębokim milczeniu.

— Trzeba gotowym być na wszystko, bąknął nakoniec.

Bourras zakipiał wtedy, wstrząsnął włosami i kędzierzawą brodą.

— Niech kupuje, zapłaci cztery razy więcej, niż warto. Ale klnę się, że póki ja żyję, nieposiedzie ani jednego kamienia. Mój kontrakt służy mi na lat dwanaście. Zobaczymy! zobaczymy!

Było to wypowiedzenie wojny; Bourras zwrócił się ku Magazynowi Nowości, którego nazwy żaden z nich nie wymienił. Baudu w milczeniu kiwał głową; potem przeszedłszy ulicę powrócił do siebie. Włóczył nogami i wciąż powtarzał:

— Mój Boże! Mój Boże!

Dyoniza, która słyszała tę rozmowę, szła za nim. Pani Baudu jednocześnie wchodziła z Pépém i natychmiast powiedziała, że pani Gras gotowa jest przyjąć dziecko w każdym czasie. Jan znikł gdzieś, czem siostra mocno się zaniepokoiła. Gdy powróciwszy zaczął z ożywioną twarzą opowiadać namiętnie o bulwarach, spojrzała na niego z tak smutną miną, że się zaczerwienił. Przy niesiono ich walizę; noc mieli spędzić na strychu.

— Ale, a cóż u Vinçarda? spytała pani Baudu.

Sukiennik opowiedział o złym skutku swych starań i dodał, iż proponowano synowicy miejsce.

— Oto tam! rzekł wzgardliwie wskazując ręką Magazyn Nowości.

Cała rodzina była tem dotkniętą. Wieczorem pierwszy obiad był o piątej. Dyoniza i jej dwoje dzieci zajęli swe miejsca z Baudu, Genowefą i Colomban'em. Płomień gazowy oświecił i ogrzewał jadalnię, po której rozchodziła się dusząca woń potraw. Obiad spożywano w milczeniu; lecz przy

wetach pani Baudu, nie mogąc dłużej wytrzymać, usiadła za swą synowicą. Wówczas to długo wstrzymywana fala, przerwała zaporę, wszystkim ulżyło wymyślanie na potwora.

— To od ciebie zależy, jesteś wolną, powtarzał Baudu. Nie chcemy wpływać na ciebie... Tylko gdybyś wiedziała co to za dom...

Urywanemi frazesami, opowiedział historię Oktawa Mouret'a. Szczęście mu sprzyjało. Z południowej Francyi dostał się do Paryża ten zuchwwały i sympatyczny awanturnik i zaraz rozpoczął szereg miłosnych historyjek z kobietami. Był to ciągły wyzysk kobiety: zgorszenia, chwytnie na gorącym uczynku. Cała dzielnica mówiła o nim—nakoniec świetny i niewytłómaczony podobój pani Hédouin, która przyniosła mu w posagu Magazyn Nowości.

— Biedna Karolina! przerwała pani Baudu, była ona daleką moją krewną. O! gdyby żyła, inaczejby szły interesa, nie pozwoliłaby nas zabijać. Jednakże on ją sam zabił i to wśród swych budowli. Pewnego ranka, zwiedzając roboty, wpadła w dół, a we trzy dni potem umarła... Ona, która nigdy nie chorowała, zawsze była zdrową i tak piękną. Pod kamieniami tego domu jest jej krew.

Mówiąc to, przez ścianę wskazywała na wielki magazyn, swą bladą i drżącą ręką. Dyoniza słuchała tego jak czarodziejskiej bajki, czując lekki dreszcz. Obawa dręcząca ją od rana, obok nie-

zwalczonej pokusy, zdradzała się może z tej krwi, którą teraz zdawała się spostrzegać na kamieniach.

— Moznaby sądzić, iż mu to szczęście przyniosło, dodała pani Baudu, nie wymieniając Mouret'a.

Lecz sukiennik, słuchając tej baśni, wzruszał pogardliwie ramionami. Na nowo rozpoczął on swą historję i wyjaśnił położenie z punktu kupieckiego. Magazyn „Le Bonheur des Dames”, założony był w 1822 r. przez braci Deleuze. Po śmierci starszego, córka jego Karolina, wyszła za syna fabrykanta płócien, Karola Hédouin; zostawszy wdową, zaślubiła Mouret'a, przynosząc mu w posagu połowę magazynu. We trzy miesiące po ślubie, umarł stryj Deleuze bezdzietnie, tym więc sposobem, gdy Karolina utraciła życie w czasie restauracyi domu, Mouret pozostał jedynym dziedzicem i właścicielem magazynu. Prawdziwe szczęście!

— Jest to człowiek pomysłowy, niebezpieczny matacz, który przewróci całą dzielnicę, jeżeli mu na to pozwolą—kończył Baudu. Zdaje mi się, iż Karolina będąc nieco egzaltowaną, została pociągnięta osobliwemi projektami tego pana. Krótko mówiąc, nakłonił ją do kupienia domu po lewej stronie, potem drugiego po prawej; gdy zaś pozostał sam, dokupił jeszcze dwa domy: w ten sposób magazyn ciągle rósł i rósł, a teraz grozi pożar ciem nas wszystkich.

Zwracał się do Dyonizy, chociaż w istocie mówił dla siebie, przezuwając tę dręczącą go historię; w kółku rodzinnem stanowił on żywioł zólciowy, gwałtowność z zaciśniętymi pięściami. — Pani Baudu już się nie wdawała w rozmowę, siedząc nieporuszenie na krześle; Genowefa i Colomban, ze spuszczonei oczami, przez roztargnienie, zbierali i zjadali okruszyny chleba. Tak było gorąco i duszno w tym pokoiku, że Pépé usnął na stole, nawet i Jan mrużył oczy.

— Cierpliwości! — rozpoczął na nowo Baudu, porwany nagłym gniewem — matacze połamię że bra! Tak, poczciwi ludzie zawsze zwalczą łotrów, dlatego dość im ze złożonemi rękami czekać ostatecznego upadku! Mouret przechodzi kryzys, wiem dobrze. Zmuszony był wszystkie swe zasoby włożyć w to szalone powiększenie sklepu i w reklamę. Prócz tego, dla zdobycia kapitałów, przyszło mu na myśl, nakłonić większą część swych podwładnych, aby umieścili u niego fundusze swoje. Obecnie jest bez grosza i jeżeli się nie stanie cud, jeżeli mu się nie uda w trójnasób zwiększyć sprzedaż, jak się tego spodziewa, zobaczycie jakie nastąpi bankructwo! Nie jestem złym człowiekiem, ale w ten dzień uiluminuję swój sklep, słowo honoru!

Mściwym głosem ciągnął dalej, zdawałoby się iż upadek Magazynu Nowości, powinien być przywrócić honor handlu. Czy kiedy widziano, żeby w magazynie nowości sprzedawać wszystko... jest

to raczej bazar! Piękny też personell zbieranina chłystków, którzy sprawiają się jak na stacyi kolei, traktują towar i kundmanów jak pakunki; porzucają pryncypała lub przez niego są odprawiani za jedno słowo, nie znają ani życzliwości, ani obyczajów, ani sztuki. Jako przykład postawił Colombana, wychowanego w dobrej szkole, on wie w jaki sposób powoli i napewno dochodzi się do zręczności, do wybiegów rzemiosła. Nie w tem sztuka, żeby dużo sprzedawać, ale po wysokiej cenie. Zresztą niech powie, jak się z nim obchodzimy: stał się członkiem naszej rodziny, pielęgnowany jest w chorobie, oprany i osyty, doglądany po ojcowsku, nakoniec... jest kochany!

Colomban po każdym wykrzyku swego zwierchnika, mówił: „tak, tak!”

— Tyś ostatni, mój pocziwcze — rzekł Baudu rozczulony. — Po tobie już takich nie będzie. Ty jeden mnie pocieszasz, lecz jeżeli takie tłoczenie się, popychanie nazywają teraz handlem, nie rozumiem się na tem i wolę się wycofać.

Genowefa z głową zwieszoną na bok, jak gdyby jej gęste, czarne włosy zanadto ciążyły, z bladą twarzą, wpatrywała się w subiekta uśmiechając się; w jej wejrzeniu kryło się powątpiewanie, ciekawość, czy też Colomban dręczony wyrzutem sumienia nie zaczerwieni się od tych pochwał? Lecz jako chłopiec nałamany do komedyj starego handlu, pozostał on spokojny, z miną dobroduszną i z wyrazem chytrłości na ustach.

Jednakże Baudu coraz głośniej krzyczał na ciągle odbijanie pak naprzeciwko, na tych dzikich, zabijających się pomiędzy sobą w walce o byt, dążących do podkopania rodziny. Stawiał za przykład swych sąsiadów ze wsi, pp. Lhomme: matkę, ojca i syna, wszyscy zajęci są w jednej budzie, nie mają domowego ogniska, zawsze za domem, jadający u siebie tylko w niedzielę, pędzą życie hotelowe, jakby przy table d'hôte!

— Co prawda, jadalnia moja niewielka, mogłaby mieć więcej światła i powietrza, ale tu spędziłem życie, wśród tkliwych rodzinnych uczuć.

Mówiąc to spoglądał dokoła izdebki i drżał na myśl, której nie chciał wyjawiać, iż pewnego poranku, dzicy w razie gdyby dobili jego handel, gotowi go wygnać z tej nory, gdzie mu było ciepło pomiędzy żoną i córką. Chociaż udawał, że jest pewien ich bankructwa, bał się, widząc swą dzielnicę zagrabioną i pochłanianą powoli.

— Nie mówię tego, żeby cię zniechęcać—rzekł usiłując być spokojnym. — Jeżeli w tem widzisz swe dobro, pierwszy ci powiem: idź!

— Wierzę, mój stryju—szepnęła Dyoniza, gdyż pociąg jej do Magazynu Nowości wzrastał, w miarę tych uniesień.

Baudu wspierał się łokciami o stół i prześladował ją wzrokiem.

— Lecz powiedz ty, co będziesz może do nich należała, jest-że to rozsądnem, aby prosty magazyn nowości, porywał się na sprzedaż wszystkie-

go. Dawnemi czasy, kiedy handel był uczciwie prowadzony, nowości i nic więcej. Dziś, jedynym ich celem sięść na kark sąsiadom i wszystko pożyć... oto na co się cała dzielnica uskarża; bo małe sklepy od tego bardzo ucierpiały. Ten Mouret je rujnuje. Patrz! Bédoré i siostra (wyroby półczosznicze) z ulicy Gaillon, utracili połowę klienteli. Panna Tatin, handlująca bielizną w pasażu Choiseul, musiała zniżyć ceny do połowy i prześoić się w taniej sprzedaży. Skutki tej klęski, tej zarazy, dają się czuć nawet na ulicy Neuvedes-Petits-Champs, gdzie jak mi mówiono, futrzarze bracia Vanpouille, nie mogli wytrzymać konkurencyi. Cóż na to powiesz, oto perkaliki sprzedają futra; nie jest-że to śmieszne? To także pomysł Mouret'a.

— A rękawiczki — powiedziała pani Baudu. — Czyż to słyszana rzecz? Ośmielił się urządzić półki z rękawiczkami! Wczoraj, jakem przechodziła przez ulicę Neuve-Saint-Augustin, Quinette stała we drzwiach z tak smutną miną, że się nie odważyła zapytać, jak idą interesa? Biedna Quinette, będzie zmuszona ograniczyć się na praniu rękawiczek.

— A parasole—wtrącił Baudu. — To już wszystko przechodzi. Bourras jest przekonany, że Mouret chciał go po prostu zgubić, bo też jaki związek mają materye z parasolami? Ale Bourras mocno się trzyma, nie da się tak łatwo zarznąć. Będziemy się śmieli niezadługo.

Potem mówił o innych kupcach i zrobił przegląd całej dzielnicy. Czasami wyrzywały mu się wyznania: jeśli Vinçard chce sprzedać swój interes, to nam wszystkim nie nie pozostaje, tylko się pakować, bo Vinçard jest jak szczury, które uciekają z domu, mającego się zawalić. Ale zaraz przeczył sobie, marzył o zjednoczeniu się, o porozumieniu się drobnych handlarzy, ażeby stawić czoło kolosowi. Od niejakię chwili powstrzymywał się od mówienia o sobie, trząsał rękami, usta drgały mu nerwowo. Nakoniec rzekł:

— Co do mnie, to jak dotąd, nie mogę się zbyt uskarżać. O! zrobił mi dużo złego ten łotr! Ale dotychczas on ma tylko sukna damskie: cienkie i grubsze na okrycia. Co się tyczy artykułów dla mężczyzn, to przychodzą do mnie po aksamit na myśliwskie ubrania, po sukno na liberyę; nie mówiąc już o flanelach i bajach z którymi śmiało staję z nim do konkurencyi. Tylko się drażni ze mną, zdaje mi się, iż mi krew psuje tą wystawą sukien naprzeciwko mnie. Widziałas ją z moich drzwi. Zawsze tam wystawia najpiękniejsze okrycia, w pośród ramy ze sztuk sukna, istna wystawa kuglarzy, dla znęcenia dziewcząt. Słowo poczeiwego człowieka! Jaby mi się wstydział takich sposobików. Firma le Vieil Elbeuf, znana od stu lat, nie potrzebuje u swych drzwi takich pułapek na gapiów. Póki żyć będę, sklep mój pozostanie takim, jak go odziedziczyłem: z czterema

izbami na towar: dwie na prawo, dwie na lewo i nic więcej.

Wzruszenie ogarniało całą rodzinę. Po krótkim milczeniu Genowefa odważyła się wtrącić słowo:

— Kundmani nas lubią, ojczec. Nie trzeba tracić nadziei. Dziś nawet, pani Desforges i pani de Bo-ves przychodziły. Czekam także na panią Marty co do flaneli.

— Czy uwierzysz—szepnęła pani Baudu swym osłabłym głosem—żeśmy widzieli ten handel tak małym, jak chustka do nosa! Doprawdy, moja kochana Dyonizo, kiedy go Deleuze'owie założyli, miał tylko jedno okno od ulicy Neuve Saint-Augustin, jakby afisz, na którym się mieściły dwie sztuki muślinu i trzy sztuki perkalu. W sklepie nie można się było obrócić, z powodu ciasnoty. Vieil Elbeuf, który istniał już od lat sześćdziesięciu, był już wówczas takim, jakim dziś go widzisz. Ach! wszystko się zmieniło, wszystko!

Potrząsnęła głową; w słowach tych, powoli wypowiedzianych, zawierał się dramat całego jej życia. Urodzona w Vieil Elbeuf, kochała w nim wszystko, nawet wilgotne kamienie, żyła w nim i dla niego. Dawniej szczyoiła się tym handlem, w całej dzielnicy najzamożniejszym, najlepiej zaopatrzonym—potem wystawioną była na tę boleść, że współzawodniczący z nimi handel, rozwijał się coraz bardziej i w końcu stał się nawet groźnym dla sąsiadów. To upokorzenie Vieil

Elbeuf było ciągle jęczącą się raną; zamierała, trzymając się tylko siłą dawnego rozpędu, czując że konanie sklepu, będzie także jej konaniem i że zgaśnie w dzień jego zamknięcia.

Panowało milczenie. Baudu bębnił palcami na ceracie stołu. Doznawał znudzenia, coś nakształt zalu, że ulżył sobie raz jeszcze gadanią. W tem udręczeniu cała rodzina, z przecuciem nieokreślonym, wciąż wracała do gorzkich swych rozmyślań, szczęście im się nigdy nie uśmiechnęło, kiedy dzieci wychowali i doszli do fortuny, nagle konkurencya grozi im ruiną. Mielł jeszcze zresztą wielki dom w Rambouillet, gdzie przenieść się było od dziesięciu lat, marzeniem sukiennika. Kupił trafem starą budowlę, którą trzeba było ciągle naprawiać. Zdecydował się wynajmować ją, ale lokatorowie mu nie płacili. Ostatnie zyski jego szły tam. To jedno wprowadzie miał sobie do wyrzucenia ten kupiec uczciwy aż do drobiazgowości, prawy i uparcie trzymający się starych idei w handlu.

— Trzeba już zwolnić stół dla innych. Wszystko to są próżne słowa!

Było to jakby przebudzenie się. Płomień gazo wy syczał, w tej dusznej izdebce. Wszyscy razem podnieśli się, przerywając tem smutne milczenie. Pépé spał doskonale, wyciągnięty na sztuce bai; Jan który poziewał, wrócił już był do drzwi od ulicy.

— Zresztą, tak zrobisz, jak ci się spodoba, — znowu powtórzył Baudu synowicy. — Przedstawiamy ci tylko stan rzeczy; ale się rozporządzisz, jak zechcesz.

Naglił ją wzrokiem, oczekując stanowczej odpowiedzi. Dyoniza, którą te historye jeszcze więcej roznamiętniły do Magazynu Nowości, zamiast ją odwrócić od zamiaru, pod spokojnym i łagodnym wyrazem twarzy, kryła upartą wolę Normandki. Odpowiedziała więc:

— Zobaczymy, mój stryju.

Prosiła, żeby jej wolno było pójść spać z dziećmi wcześniej, bo wszyscy troje byli zmęczeni, a ponieważ dopiero wybiła szósta, chciała jeszcze pozostać chwilę w sklepie. Noc zapadła, ulica była ciemna, padał bowiem od zachodu słońca, drobny i gesty deszcz. Było to dla niej niespodzianką: w kilka chwil kałuże zalały ulicę, w rynsztokach płynęła brudna woda, gęste błoto pokryło chodniki i widać było tylko parasole, popychające się i tłoczące, jakby wielkie ciemne skrzydła. W pierwszej chwili cofnęła się, owiana chłodem, z sercem jeszcze więcej ściśniętem, pod wpływem tego sklepu źle oświetlonego i ponurego o tej godzinie. Wilgotny powiew, oddech starej dzielnicy, przenikał z zewnątrz; zdawało się, iż ścieki z parasoli, dochodziły do kantorów, że bruk ze swemi kałużami i błotem wchodził do sklepu, że do reszty pleśnieje parter, biały od saletry. Był to widok starego, wilgotnego Paryża, od którego

drżała, z zadziwieniem, że to wielkie miasto jest tak lodowate i brzydkie.

Lecz z drugiej strony ulicy, Magazyn Nowości zapalał aż do głębi w długie rzędy gazowych płomieni, zbliżyła się więc na nowo, pociągnięta i jakby rozgrzana tem ogniskiem jarzącego się światła. Maszyna huczała będąc ciągle w ruchu, wypuszczając parę ostatniego wrzenia; podczas kiedy subiecki zwijali materye, a kasyerzy liczyli przychód. Przez szyby przyćmione mgłą, widać było drganie światel, jakby wewnątrz kuźni. Po za gęstą osłoną padającego deszczu, to zjawisko oddalone, przybierało widok olbrzymiego paleniska, gdzie się snuły czarne cienie palaczy, przy czerwonym ogniu kotła. Witryny także tonęły; można było tylko wyróżnić śnieżne koronki, których białość podnosiły matowe szkła, pokrywające gazowe płomienie; a w tem wnętrzu jakby kaplicy, odbijały okrycia; wielki płaszcz aksamitny obsyty srebrnymi lisami, przedstawiał wycięty profil kobiety bez głowy, biegnącej w ulewę na jakąś zabawę, wśród tajemniczych ciemności Paryża.

Dyoniza uległa pokusie i wyszła aż przed drzwi, nie dbając o bryzgi deszczu. W tę wieczorną godzinę, Magazyn Nowości pochłonał ją całkowicie swym blaskiem. W tem mieście ciemnem, niemem, zalanem deszczem, w tym Paryżu jej nieznanym, jaśniał on jakby latarnia morska i wydawał jej się jedynem światłem i oznaką życia.—

Marzyła o swej w nim przyszłości, o ogromie pracy, jaki ją czeka, aby wychować dzieci i o wielu innych rzeczach, — sama niewiedziała o czem, o jakichś oddalonych widokach, których pragnąc i lękając się zarazem, drżała całym ciałem. Myśl o tej kobiecie zmarłej w podwalinach, przejmowała ją strachem; zdawało jej się, że światła krwawią; lecz uspokoiła ją białość koronek, do serca wstąpiła nadzieja, a nawet pewność radości; wodny pyłek chłodził zaś jej ręce i uśmierzał gorączkę, spowodowaną podróżą.

— To Bourras — odezwano się za nią.

Wychyliwszy się, ujrzała kupca, stojącego nieruchomie na końcu ulicy, przed oknem, w którym widziała z rana dowcipnie ułożone parasole i laski. Wysoki starzec z głową proroka, prześliznął się w cieniu, ażeby napaść oczy tą tryumfalną wystawą; patrzył ze zboląłą twarzą, nie czując deszczu padającego na jego obnażoną głowę i ściekającego po białych włosach.

— Jakież on głupi, gotów się przeziębic — mówił dalej tenże głos.

Odwróciwszy się, spostrzegła Dyoniza, że cała rodzina Baudu była za nią. Pomimowoli, tak jak Bourras, którego nazwali głupcem, powracali ciągle do widoku rozdzierającego im serce. Była to żądza cierpienia. Genowefa okropnie blada, upewniła się, że Colomban przypatrywał się cieniom panien sklepowych, które widać było przez szyby antresoli. Podczas gdy starego Baudu dławiała

tajona złość, oczy pani Baudu napelniały się ci-
chemi łzami.

— Cóż, pójdiesz tam jutro, nieprawda?—zapy-
tał nakoniec sukiennik, dręczony niepewnością,
czując zresztą, że synowica jak i inni, została
podbitą.

Zawahała się chwilę, poczem łagodnie odrzekła:

— Tak, mój stryju; chyba że ci to wielką przy-
krość sprawi.

ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz o w pół do ósmej Dyoniza była już przed Magazynem Nowości. Chciała tam zgłosić się, zanim poprowadzi Jana do jego zwierzchnika, mieszkającego daleko na przedmieściu Temple. Lecz przywykłszy do rannego wstawania, zanadto się pośpieszyła: subiekci zaczynali się dopiero schodzić. Bojąc się śmieszności, zaczęła się przechadzać po placu Gaillon.

Zimny wiatr wysuszył bruk. Ze wszystkich ulic, oblanych słabem światłem dziennym, pod ołowianem niebem, zjawiali się subiekci, idący śpiesznie, z podniesionemi kołnierzami od paltołów, kryjąc ręce w kieszeniach, zaskoczyło ich bowiem pierwsze drgnienie zimy. Po większej części szli sami, znikali w głębi magazynu, nie zwracając się słowem ani wejrzeniem do kolegów, spotykających się z nimi. Inni szli po dwóch lub trzech, wśród żywej gawędy, zajmując całą szerokość chodników! Wszyscy tymże samym ruchem ręki, rzucali w rynsztok papierosy lub cygara, przed wejściem do magazynu.

Dyoniza zauważyła, iż niektórzy z tych panów, spoglądają na nią, przechodząc. Wówczas przestraszył ją wzmógł się, nie czuła się na siłach iść za nimi, postanowiła więc nie wchodzić, póki się ta defilada nie skończy. Czerwniła się na myśl, iż może być potraconą we drzwiach, pośród tych wszystkich mężczyzn. Ale defiladzie tej nie było końca, dla uniknięcia więc spojrzeń, postanowiła obejść dokoła placu. Powracając spostrzegła stojącego przed magazynem, wysokiego i bladego chłopca, który od kwadransa, zdawał się jak ona wyczekiwać.

— Czy panienka jest sklepową w tym magazynie? zapytał nakoniec nieśmiało.

Tak była zdziwiona, że ten nieznajomy chłopiec, zwraca się do niej z zapytaniem, iż na razie nie odpowiedziała.

— Bo to, ciągnął dalej, coraz bardziej mieszając się, chciałbym spróbować, czy mię tu nie przyjmą, więc mogłabyś pani mię objaśnić.

Był on również bojaźliwy jak Dyoniza i dla tego odważył się zaczepić, że widział ją także drżącą.

— Uczyniłabym to z przyjemnością, odpowiedziała nakoniec, ale ja także przyszedłam spróbować szczęścia.

— A! to co innego, rzekł, ostatecznie zbity z tropu.

Oboje zarumienili się mocno. Obie te bojaźnie stały naprzeciw siebie, rozczulone pobratym-

stwem położenia, nie śmiejąc jednak głośno życzyć sobie pomyślności w zabiegach. Potem nie mówiąc do siebie, i coraz więcej zawstydzeni, rozłączyli się i o kilka kroków od siebie, oczekiwali możności wejścia.

Subiekci wciąż wchodzili. Dyoniza słyszała ich żarty, gdy ją mijali, spoglądając z pod oka. Czując że zwraca na siebie uwagę, coraz bardziej była zmieszana, powzięła więc zamiar poświęcić pół godziny na przechadzkę po mieście; lecz widok młodzieńca, szybko nadchodzącego z ulicy Port-Mahon, zatrzymał ją na chwilę. Musiał to być starszy subiekt, bo go wszyscy witali z poszanowaniem. Wysokiego był wzrostu, białą miał cerę i brodę starannie utrzymaną; oczy koloru starego złota, z miękkim jak aksamit spojrzeniem, które na niej w przelocie zatrzymał. Wchodził do magazynu całkiem już obojętny, kiedy ona jeszcze stała nieruchoma, wzburzona tem spojrzeniem, doznając szczególnego wrażenia, raczej przykrego jak miłego. Taki ją strach ogarnął, że powoli przeszła się po ulicy Gaillon a potem Świętego Rocha, zbierając się na odwagę.

Nie był to starszy subiekt, ale sam Oktaw Mouret. Wcale nie spał tej nocy, bo wyszedłszy z wieczoru od pewnego agenta bankowego, poszedł na kolację z przyjacielem i z dwiema kobietami, wziętymi z za kulis teatryku. Pod zapiętym paltotem, miał na sobie garnitur wieczorowy i biały krawat. Wpadłszy do domu, na

prędce umył się i przebrał; a kiedy siadł przed biurkiem, w swym gabinecie w antresoli, był rzeźki i przytomny, oko miał bystre, cerę świeżą i cały był oddany pracy, jak gdyby spędził dzień godzin w łóżku. W tym obszernym gabinecie, meble były z czarnego dębu, obite zielonym rypsem; jedyną jego ozdobę stanowił portret pani Hédouin, o której cała dzielnica dotąd mówiła. Od czasu jej śmierci, Oktaw przechował czułe wspomnienie, okazywał się wdzięcznym jej pamięci, wzamian za otrzymaną fortunę. Oto i teraz zanim zaczął podpisywać traty leżące na stole, zwrócił się do portretu z uśmiechem szczęśliwego człowieka. Alboż nie w jej obecności powracał do pracy, po wycieczkach i wyjściu z alków, gdzie chęć do uciech zapędzała go, jako młodego wdowca.

Dało się słyszeć pukanie do drzwi i nie czekając wezwania, wszedł młody człowiek wysoki, szczupły, z wązkiemi ustami i ostrym nosem, starannie ubrany, z siwizną przebijającą się już gdzieś gdzie, pośród gładko przyczesanych włosów. Mouret podniósł oczy i podpisując dalej, zapytał:

— Dobrze spałeś, Bourdoncle?

— Doskonale, dziękuję; odpowiedział zapytany, chodząc drobnym krokiem, jakby u siebie.

Bourdoncle, syn biednego fermera z okolic Limoges, rozpoczął służbę w Magazynie Nowości jednocześnie z Mouretem, kiedy magazyn ten zaj-

mował tylko róg placu Gaillon. Bardzo był inteligentny i energiczny, zdawało się wówczas, że z łatwością prześcignie swego kolegę, mniej poważnego i trzpiota, mającego wiecznie drażliwe przejścia z kobietami; ale nieposiadał on za to rzutkości tego namiętnego prowansalczyka, jego śmiałości i zwyciężkiego wdzięku. Zresztą, z instynktem praktycznego człowieka, ukorzył się przed nim, był mu posłuszny i to bez żadnego oporu, od pierwszej chwili. Skoro Mouret poradził swym podwładnym, aby fundusze swoje umieścili w jego interesie, Bourdoncle, jeden z pierwszych tego dokonał, powierzając mu nawet niespodziewany spadek po ciotce. Zwolna przeszedłszy wszystkie stopnie: sklepowego, młodszego subiekta, potem naczelnika oddziału jedwabi, stał się jednym z zaufanych pryncypała, najdroższym i najpoufalszym, jednym z sześciu pomocników w zarządzie Magazynu Nowości. Było to coś w rodzaju rady ministrów, pod królem z nieograniczoną władzą: każdy z nich miał dozór nad jedną prowincją, Bourdoncle'owi zaś był powierzony ogólny nadzór.

— A pan, czy dobrze spałeś? zapytał poufale. Skoro Mouret odrzekł, że się wcale niekładał, kręcąc głową, mruczał:

— Zła higiena.

— Dla czego? zapytał tamten wesoło, jestem mniej zmęczony niż ty, mój kochany. Masz oczy

od snu zapuchnięte, stajesz się ociężały, żeby być rozsądniejszym. Baw się, dla ożywienia myśli.

Był to odwieczny przedmiot do dysput, dla tych dwóch przyjaciół. Bourdoncle z początku bił swoje kochanki, dla tego, jak mówił, że mu spać przeszkadzały. Obecnie popisывał się nienawiścią do kobiet, chociaż z pewnością po za magazynem miewał schadzki, o których nie mówił, tak to w życiu jego mało miejsca zabierało. W magazynie starał się wyzyskiwać klientki, z największą wzdumą dla ich lekkomyślnego trwonienia pieniędzy na błahe gałganki. Mouret przeciwnie, udawał ekstazy wobec dam. bywał zachwycony i pieścizotliwy; porywany ciągle przez nowe miłości, a te sercowe sprawy służyły mu za reklamę dla handlu; można było powiedzieć, że cały rodzaj niewieści ogarniał jedną pieścizotą, ażeby go lepiej obalamucić i trzymać w zależności od siebie.

— Widziałem dziś panią Desforges na balu, była cudownie piękną! powiedział.

— Czy nie z nią byłeś pan na kolacyi? zapytał towarzysz.

Mouret wykrzyknął:

— Co znowu! Taka uczciwa osoba... byłem z inną, z Heloizą, tą małą z teatru Folies Dramatiques. Głupia jak gęś, ale taka zabawna!

Wziął drugą paczkę trat i dalej podpisywał. Bourdoncle przechadzał się drobnym krokiem.

BIBLIOTEKA
Zw. Legionistów Pol.
ODDZIAŁ LUBLIN.

№ _____

Poszedł wyjrzeć przez wysokie okno na ulicę Neuve-Saint-Augustin, poczem wrócił, mówiąc:

— One się zemszczą.

— Kto taki?

— Kobiety.

Stał się weselszy od tej chwili, zdradzając głębię brutalności, ukrywającej się pod zasłoną zmysłowych uwielbień. Wzruszeniem ramion dawał do zrozumienia, że wszystkie rzuciłby na ziemię, jak puste worki, w ten dzień, kiedyby mu ich pomoc już nie była potrzebna do zdobycia majątku. Uparty Bourdoncle powtarzał z zimną krwią:

— Zemszczą się... Znajdzie się jedna, co się zemści za wszystkie; tak zrząda Nemezys.

— Oto się nie bój, zawołał Mouret, przesadzając swój prowansalski akcent. Taka jeszcze się nie urodziła, mój drogi, a jeśli się zjawi, rozumiesz?...

Podniósł w górę obsadkę do pióra, wstrząsał nią i przebijał próżnię, jak gdyby chciał przeszyć niem niewidzialne serce. Wspólnik znowu zaczął się przechadzać, uginając się jak zwykle, przed wyższością swego pryncypała, którego geniusz, pełen skrytek, zbijał go z tropu. On tak czysty, tak loiczny, bez namiętności, on co nie był zdolny upaść, niepotrafił jeszcze trafić w słabą stronę Paryża i zdobyć jego pieszczoty, zachowywanej dla najodważniejszego.

Zapanowało milczenie, wśród którego, słyhać było tylko pióro Moureta. Potem na krótkie jego pytania, Bourdoncle udzielał objaśnień, co do wielkiej sprzedaży nowości zimowych, mającej się odbyć w następny poniedziałek. Był to interes obmyślony na bardzo wielką skalę; stawiano na kartę całą fortunę, gdyż plotki szerzące się w dzielnicy, miały rację bytu. Mouret, przystępował do spekulacyi jak poeta; z taką wystawnością, z taką potrzebą wielkości, że zdawało się, iż wszystko musi runąć pod nim. Kryło się w tem nowe pojęcie o handlu: fantazya, która niegdyś niepokoiła panią Hédouin i która dziś jeszcze, pomimo powodzenia, budziła nieraz trwogę w interesowanych. Ganiono pocichu pryncypała, że się zanadto spieszy, zarzucano mu, że zbyt śmiało powiększał magazyn, nie zapewniwszy sobie wpierwej dostatecznej klienteli, wrzono z obawy, widząc że całą kasę stawia na kartę, że przepełnia kantory towarami, nie zostawiając rezerwowego kapitału. Otóż dla tej ogromnej wyprzedaży, po bajecznych sumach wydanych na mularzy, cały fundusz był w ruchu: raz jeszcze chodziło oto, aby zwyciężyć lub umrzeć! On zaś pośród tego ogólnego zakłopotania był zawsze tryumfująco wesół, pewien milionów, jako człowiek uwielbiany od kobiet — i który niemoże przez nie być zdradzony. Skoro Bourdoncle osmielił się okazać pewne obawy z powodu zbytęznego zaopatrywania się w towary, z których

zyski były wątpliwe, roześmiał się serdecznie, mówiąc:

— Dajże pokój, mój kochany, nasz magazyn jeszcze za mały!

Bourdoncle zdawał się odurzony, ogarnięty trwogą, której nie starał się nawet ukryć. Ich magazyn jeszcze za mały! Magazyn nowości o dziewiętnastu oddziałach, mający personel złożony z czterystu trzech ludzi!

— Ale z pewnością, za półtora roku, będziemy zmuszeni, powiększyć go. Myślę o tem nie na żarty. Dzisiejszej nocy pani Desforges, obiecała zaznajomić mię jutro u siebie, z pewną osobą... ale pogadamy o tem, skoro rzecz dojrzeje.

Ukończywszy podpisywanie trat, wstał i poklepał przyjaźnie po ramieniu współnika, który nie mógł jeszcze ochłonąć. Otaczający go przestrach roztropnych ludzi bawił go. W przystępie szczerości, z jaką czasami odzywał się do swych blizkich, wyznał, że jest większym żydem, niż wszysoy żydzi razem wzięci, podobny będąc fizycznie i moralnie do ojca, tęgiego zucha, który znał się na wartości grosza; po matce zaś odziedziczył fantazyę nerwową a główną podstawę swego powodzenia; jej to bowiem zawdzięczał nieprzepartą siłę swego wdzięku, śmiało rzucającego się do przedsiębiorstwa.

— Może pan być przekonany, że go nieodstąpię do końca, rzekł wreszcie Bourdoncle.

Przed zejściem do magazynu, na który mieli zwyczaj rzucić okiem codziennie, załatwili jeszcze niektóre kwestye. Najprzód obejrzeli próbny okaz kwitaryusza grzbietowego, wynalezionego przez Moureta do notowania sprzedaży. Zauważywszy bowiem, że towar wyszły z mody, lub zależały, nie mający już pokupu, rozchodzi się prędzej gdy subiekci otrzymują większą tantiemę ze sprzedaży, stworzył nowy rodzaj handlu. Od-tąd zachęcał ich do wyprzedawania wszystkich towarów, płacąc odsetki, nawet za najmniejszy kawałek materyi, za najdrobniejszy przedmiot. Nowy ten mechanizm, zrobił przewrót w handlu nowości; wytwarzał pomiędzy subiektami walkę o byt, a pryncypałowi zyski zapewniał. Ta walka, stała się w jego rękach ulubioną formułą, zasadą organizacyi, na której stale się opierał. Roz-przęgał namiętności, powoływał siły do życia, pozwalał silniejszym pochłaniać słabszych, a sam tuczył się walką stron interesowanych. Wzór kwitaryusza został przyjęty: w górze na grzbiecie i na odrywany kuponie, był wskazany oddział i numer sprzedającego; potem z obu stron, było miejsce na ilość łokci, rodzaj towaru i cenę; sprzedający podpisywał tylko rachunek przed oddaniem go do kasy. W ten sposób kontrola była bardzo łatwą, dość było bowiem porównać rachunki oddawane przez kasę do biura defalkacyi z grzbietami, będącemi u subiekta. Co tydzień

subiekci, otrzymywali należne im odsetki i tantiemę, bez możliwej pomyłki.

— Będą nas mniej okradać, zauważył Bourdoncle z zadowoleniem. Zdobyłeś się pan na wielką myśl.

— Dziś w nocy przyszło mi coś jeszcze do głowy, powiedział Mouret. Tak, mój kochany. Dziś siejszej nocy, przy tej kolacyi. Chcę dać urzędnikom biura defalkacyi małe wynagrodzenie za każdy błąd, jaki wykryją w rachunkach sprzedaży, przy porównywaniu. Będziemy pewni naówczas, że nieopuszczą ani jednej pomyłki; prędszej starać się będą jakąś wymyśleć.

Zaczął się śmiać; towarzysz zaś patrzył na niego z uwielbieniem. To nowe zastosowanie walki o byt oczarowało go; posiadał on geniusz mechanizmu administracyjnego i marzył o urządzeniu domu handlowego w ten sposób, żeby wyzyskując chciwość innych, spokojnie mógł zadawałniać żądze swoje. Zwykł często powtarzać: kto chce wywołać z ludzi wszystkie ich siły, a nawet i trochę poczciwości, musi liczyć na ich walkę z potrzebami przedewszystkiem.

— A teraz chodźmy, rzekł nareszcie Mouret, trzeba się zająć tą wyprzedazą. Wszakże jedwabie dopiero wczoraj przybyły i Bouthemont, ma się znajdować przy ich odbiorze?

Bourdoncle poszedł za nim. Służba odbiorcza, mieściła się w suterenach, od ulicy Neuve-Saint-Augustin. Tam na ulicy, otwartą była klatka

oszkłona, do której z wózków ręcznych ładowano towary. Były one nasamprzód ważone, potem spuszczone po gładkiej pochyłości, której łańcuch i okucie błyszczały wypolerowane tarciami pak i skrzyń. Wszystko wchodziło przez ten otwór ziejący; było tam ciągle zapchanie ześlizgających się materyj, spadających z hukiem fal.

Szczególnie w czasie wielkich sprzedaży, po tej pochyłej ślizgawce, wpadała cała fala jedwabi lyońskich, lnianych angielskich wyrobów, płócien holenderskich, alzackich perkali, muślinów z Rouen. Czasami wózki musiały czekać kolei. Paki zsuwając się, wydawały głuchy odgłos na dnie otworu, jakby kamień, rzucony w głęboką wodę. Przechodząc, Mouret zatrzymał się na chwilę przed ślizgawką. Była ona w ruchu: całe szeregi skrzyń same się ześlizgiwały, rąk ludzkich spychających je z góry nie było widać; zdawały się spadać same przez się, jak gdyby spływały z górnego źródła. Mouret patrzył, nie mówiąc ani słowa; lecz w jego jasnych oczach to wyładowywanie spadających dla niego towarów, — te fale, z których każda reprezentowała tysiące franków na minutę, zapalało przelotny płomień. Nigdy jeszcze nie miał tak spokojnego sumienia przed rozpoczęciem batalii. Właśnie tę masę towarów, chciał rozrzucić po czterech rogach Paryża. Nie mówiąc nic, dalej odbywał przegląd.

Przy szarem świetle dziennem, wpadającym przez szerokie, otwory w ścianie, kilkoro ludzi

zabierało wpadające towary; inni odbijali skrzynie i otwierali paki w obecności zarządzających oddziałami. Ruch warsztatowy zapełniał tę piwnicę w suterenie, w której sufit podtrzymywały żelazne słupy; na gołych ścianach nie było widać ani śladu wilgoci.

— Czy wszystko masz, Bouthemont? zapytał Mouret, zbliżając się do młodzieńca o szerokich barkach, który sprawdzał zawartość skrzyń.

— Wszystko być musi, odpowiedział tenże, ale cały ranek zejdzie mi na obliczaniu.

Zawiadujący oddziałem, rozpatrywał fakturę, stojąc przy wielkim stole, na którym jego pomocnik wykładał sztukę po sztuce jedwabnych materyj, wyjmowanych ze skrzyni. Po za nim był także szereg stołów, zawałonych również towarami, przeglądanych przez całą armię subiektów. Było to ogólne rozpakowywanie, mieszanina materyj oglądanych, przerzucanych, znaczonych wpośród szmeru głosów.

Bouthemont, odznaczający się w tej czynności, miał okrągłą jowialną twarz, czarną jak atrament brodę i piękne piwne oczy. Bałamut, krzykacz, nieodznaczał się sprytem do sprzedaży; lecz co do kupna, nie miał sobie równego. Wysłany do Paryża przez ojca, który miał magazyn nowości w Montpellier, nie chciał już powracać w rodzinne strony, chociaż zdawało się ojcu, że nabył dosyć praktyki i może go w handlu zastąpić. Odtąd panowało współzawodnictwo pomiędzy ojcem

i synem; pierwszy całkiem oddany kramarskiemu, prowincjonalnemu handlowi, oburzony był, że syn, będąc prostym subiektem, trzy razy więcej od niego zarabia; drugi zaś chępiąc się zyskami, za każdym przybyciem sprawiał wzburzenie w całym domu. Równie jak inni zawiadujący oddziałami, oprócz trzech tysięcy franków stałej rocznej pensyi, pobierał on tantiemę od sprzedaży. Zdziwione Montpellier, któremu imponował, mówiło, że Bouthemont syn, w ubiegłym roku schował do kieszeni blisko piętnaście tysięcy franków; a był to tylko początek. Ludzie przepowiadali rozjątrzonemu ojcu, że się ta cyfra powiększy jeszcze.

Bourdoncle wziął do rąk sztukę jedwabnej materyi, której gatunek badał, z uważną miną człowieka biegłego w swym fachu. Była to faille, z brzegiem srebrno-niebieskim, sławne *Paris Bonheur*, na której powodzenie Mouret najbardziej liczył.

— Rzeczywiście doskonała, szepnął.

— Nietyle dobra jeszcze ile efektowna, odezwał się Bouthemont. Tylko jeden Dumonteil umie takie rzeczy wyrabiać. W czasie ostatniej mej podróży, kiedym się pogniewał z Gaujean'em, chciał on zająć sto warsztatów wyrobami na wzór tego, ale żądał dwadzieścia pięć centymów więcej od metra.

Prawie co miesiąc Bouthemont udawał się do fabryk, spędzając dnie całe w Lyonie; stawał

w najpierwszych hotelach, i na rachunek firmy traktował hojnie fabrykantów. Korzystał przytem z zupełnej swobody: kupował, jak mu się podobało, byleby tylko z każdym rokiem, powiększał umówioną sumę obrotową swego oddziału; od tego to zwiększenia, pobierał tantiemę. Tym sposobem jego położenie w Magazynie Nowości, równie jak innych zawiadujących oddziałami, było jakoby specjalisty kupca wśród rzeszy innych kupców. Był to rodzaj rozległego miasta handlowego.

— A więc postanowiono, że ją oznaczymy na pięć franków i sześćdziesiąt centymów? Prawie po cenie kosztu.

— Tak, tak, pięć franków i sześćdziesiąt centymów, odpowiedział żywo Mouret. Gdybym był sam, oddałbym ją nawet ze stratą.

Zawiadujący oddziałem, głośno się roześmiał.

— O, ja nic nie mam przeciw temu: potroi się sprzedaż, a ponieważ mi chodzi jedynie o wielki odbyt...

Bourdoucle stał poważnie z zaciśniętymi ustami, pobierał on tantiemę od zysków, więc zmniejszenie ceny nie było wcale jego interesem. Pilnował właśnie wystawianych cen, ażeby Bouthemont, pragnący jedynie powiększenia sprzedaży, nie oddawał towaru ze zbyt małym zyskiem. Zresztą ogarniały go dawniejsze obawy, wobec kombinacyj reklamy, których nie rozumiał. Ośmielił się nawet wyjawić swój wstręt, mówiąc:

— Jeżeli ustąpimy za pięć franków sześćdziesiąt centymów, to tak jakbyśmy sprzedawali ze stratą; dla tego że trzeba uwzględnić ogromne koszta. Wszędzie sprzedawanoby to po siedm franków.

Na ten raz Mouret się rozgniewał. Uderzył dłonią po materyi i wykrzyknął nerwowo:

— Wiem — i dla tego chcę z tego zrobić podarunek moim klientkom. Doprawdy, mój kochany, nigdy nie zrozumiesz kobiet. One będą sobie wyrywały tę materyę.

— Bezwątpienia, odpowiedział sknera, i czem więcej będą sobie ją wyrywać, tem więcej będziemy stratni.

— Przypuśómy, że będzie kilka centymów straty na tym towarze, ale cóż z tego? Jest że to nieszczęście, że zwabimy do siebie wszystkie kobiety i będziemy je trzymać bezbronne, rozszalałe wobec masy towarów, wypróżniające woreczki bez rachuby! Wszystko od tego zależy, aby je rozognić, a więc potrzeba nam towaru, któryby im zawracał głowy, któryby stanowił epokę. Można potem inne towary sprzedawać tak drogo, jak gdzieindziej — one jednak będą przekonane, że u nas płacą taniej. Naprzykład nasza *Cuir-d'Or*, materya po siedm franków pięćdziesiąt centymów, którą się wszędzie sprzedaje po tej cenie, również pójdzie przy tej sposobności i zwróci nam straty poniesione na *Paris Bonheur*. Zobaczysz! Zobaczysz!

Stawał się krasomówcą.

— Czy rozumiesz? ja chcę, aby za tydzień *Paris Bonheur* zrobiło przewrót na targu. Ono jest narzędziem naszym do fortuny, ono nas zbawi i popchnie. O niem tylko będą mówić, brzezek srebrzysto niebieski, znany będzie w całej Francyi. Zobaczysz, jaki cios zadamy naszym współzawodnikom. Drobnny handel straci jeszcze jedno skrzydło. Zagrzebiemy wszystkich tych tandeciarzy, którzy cherlają na reumatyzm w swoich lochach.

Dokoła pryncypała, subiekci, sprawdzający ekspedycje, słuchali uśmiechając się. Umiał on mówić przekonująco i Bourdoncle znowu ustąpił. Tymczasem skrzynia się wypróżniła; dwóch ludzi odbijało inne.

— Fabrykanci wcale z tego się nie śmieją! — powiedział Bouthemont. W Lyonie wściekają się na pana, utrzymują, że taniość nasza jest ich ruiną. Przecież wiadomo, że Gaujean stanowczo wypowiedział wojnę. Zapowiedział, iż prędzej małym handlom zaofiaruje długoterminowy kredyt, niżeli przystanie na nasze ceny.

Mouret wzruszył ramionami i rzekł:

— Jeżeli Gaujean nie przyjdzie do rozumu, to osiadzie na mieliźnie. O cóż im chodzi? Przecież płacimy natychmiast i zabieramy wszystkie ich wyroby, że taniej sprzedają, to najmniejsza. Zresztą w tem rzecz, by publiczność korzystała.

Subiekt wypróżniał drugą skrzynię podczas gdy Bouthemont na rogu kontuaru, znaczył je potem wiadomemi cyframi. Po dokonaniem sprawdzeniu, faktura podpisana przez naczelnika oddziału, miała być zanesiona do kasy głównej. Chwilę jeszcze Mouret przyglądał się tej pracy, temu ruchowi dokoła pak, które ciągle wpadając, zalegały całą suterенę. Nareszcie nie rzekłszy ani słowa, z miną kapitana zadowolonego ze swych żołnierzy, oddalił się z Bourdoncle'm.

Powoli obaj przeszli przez suterенę. Gdzieś przez okienko wkradało się bladawe światło; w głębi ciemnych kątów, w długich ciasnych korytarzach palił się ciągle gaz. Tam to znajdowały się zapasy, w lochach zagrodzonych palisadą, przechowywano towary, niemogące się pomieścić w sklepie. Przechodząc, rzucił Mouret okiem na kaloryfer, w którym miało się zapalić po raz pierwszy w następujący poniedziałek i na mały posterunek straży ogniowej, pilnującej olbrzymiego zbiornika, zamkniętego w klatce żelaznej. Kuchnia i jadalnie przerobione z dawniejszych piwnic, znajdowały się z lewej strony, na rogu ulicy Gaillon. Na drugim końcu sutereny, zbliżył się do służby ekspedycyjnej. Paczki, których klientki nie zabierały z sobą, były przynoszone, rozkładane na stołach, klasyfikowane na oddziały, z których każdy oznaczał dzielnicę Paryża, potem po szerokich wschodach, nawprost Vieil Elbeuf, pakowano je na wozy, stojące przy cho-

dniku. W ruchu mechanicznym Magazynu Nowości, te wschody na ulicę Michodière ciągle wyrzucały towary, wchodzące przez ślizgawkę z ulicy Neuve-Saint-Augustin, przeszedłszy pierwiej na górze przez cały mechanizm kantorowy.

— Champion—odezwał się ostro Mouret do ekspedytora, starego sierżanta o wychudłej twarzy—dlaczego te sześć prześcieradeł, kupionych przez jedną panią, około drugiej godziny, nie zostały wieczorem odesłane?

— Gdzie mieszka ta dama? — zapytał ekspedytor.

— Ulica Rivoli, róg ulicy d'Alger. . pani Desforges.

O tej godzinie stoły do sortowania były próżne; leżało na nich tylko kilka pakietów, pozostałych od wczoraj. Podczas kiedy Champion szperał w nich, rozpatrując się w rejestrze, Bourdoncle spoglądał na Moureta podziwiając, że ten szatański człowiek wie o wszystkim i zajmuje się wszystkim, nawet przy stołach restauracyj nocnych i w alkowach swoich kochanek. Nakoniec ekspedytor odszukał pomyłkę: w kasie przyłożono fałszywy numer i dlatego paczka wróciła.

— Która kasa ekspedyowała?—spytał Mouret. Powiedziano, że numer dziesiąty.

Zwracając się do współnika, zawołał:

— Kasa numer dziesiąty, to Albert, nieprawda? Pójdę powiedzieć mu słów parę.

Lecz przed rozejrzeniem się po magazynie, chciał wstąpić do służby ekspedycyjnej, mieszczącej się w kilku pokojach na drugiem piętrze. Tam to nadchodziły zamówienia z prowincyi i z zagranicy; co rano więc chodził przejrzeć korespondencyę. Od lat dwóch korespondencya ta codziennie się zwiększała. Służba tamtejsza, złożona z początku z dziesięciu pracowników, potrzebowała ich obecnie trzydziestu. Jedni otwierali listy, drudzy je czytali, z obu stron jednego stołu; inni segregowali, wystawiali na nich numer porządkowy, zamieszczony także w odpowiedniej przegródce. Po tem rozesłaniu listów do właściwych oddziałów, z kąd przynoszono żądane towary, umieszczano w przegródach, według porządkowych numerów. Pozostawało już tylko sprawdzić i zapakować w przyległym pokoju, gdzie kilku robotników, zabijało i obwiązywało paki od rana do wieczora!

Mouret odezwał się ze zwykłym pytaniem:

— Ile dziś przyszło listów, Levasseur?

— Pięćset trzydzieści cztery—odpowiedział naczelnik służby.—Obawiam się, czy mi nie zbraknie ludzi na tę sprzedaż rozpoczynającą się w poniedziałek. Wczoraj było już nam trudno dać sobie radę.

Bourdoncle z radości podniósł głowę do góry; nie rachował on na tyle listów we wtorek. Dookoła stołu komisanci rozcinali i czytali, wciąż szeleszcząc papierem; jednocześnie u przegród rozpoczynał się ruch towarów.

Był to oddział służby najbardziej skomplikowany i najważniejszy z całego domu: pędzono tam życie gorączkowe z powodu, że ranne zamówienia koniecznie musiały być wyprawione wieczorem.

— Dadzą panu ludzi, ile ich zażadasz, Levasseur'ze — odpowiedział po chwili Mouret, który jednym rzutem oka sprawdził dobry stan służby. Wiesz, że jak jest robota, nie odmawiamy pomocy.

Na poddaszach mieściły się sypialnie panien sklepowych. Zszedłszy na dół, wstąpił do kasy centralnej, znajdującej się obok jego gabinetu. Był to pokój z oszklonemi drzwiami i okienkiem, w którym widać było ogromną szafę kasową, przykutą do ściany. Dwóch kasyerów gromadziło tam dochody dzienne; co wieczór zaś przychodził Lhomme, główny kasyer sprzedaży i doręczał wypłatę fabrykantom, obsłudze miejscowej i całemu światkowi, żyjącemu z tego domu. Kasa łączyła się z drugim pokojem, wypełnionym zielonemi pudłami, w którym dziesięciu ludzi sprawdzało faktury. Dalej jeszcze było biuro defalkacyi: sześciu młodych ludzi, schylonych nad czarnymi pulpitemi, mających za sobą stosy rejestrów, obliczało tanyemę sprzedających, porównując notaty sprzedaży. Ta służba nowoorganizowana, jeszcze nie dobrze działała.

Mouret i Bourdoncle przeszli przez kasę i biuro sprawozdań, gdy się ukazali w drugim biurze, młodzieńcy śmiejący się w najlepsze, osłupieli. Mou-

ret, nie gromiąc ich, wyjaśnił system, wymyślonych przez niego drobnych wynagrodzeń za każdy błąd wykryty w kwitaryuszach sprzedaży; po jego wyjściu, młodzież przestała się śmiać i jakby pod groźbą chłosty, namiętnie rzuciła się do roboty, szukając pomyłek.

Na dole, w magazynie, Mouret udał się wprost do kasy Nr. 10, gdzie Albert Lhomme, gładził sobie paznogie, oczekując interesantów. Mówiono zwykle: „dynastia Lhomme'ów”, od czasu kiedy pani Aurelia, pierwsza sklepowa w oddziale okryć, uprosiwszy dla męża miejsce głównego kasyera, otrzymała też częściową kasę dla syna, dużego, bladego, rozpustnego chłopca, który nie mógł długo na jednym miejscu pozostawać i przyczyniał matce nie mało kłopotów. Na widok tego młodzieńca, Mouret stracił minę, miał bowiem wstręt do odegrywania roli żandarma. Przez dobry smak i taktykę, wolał się okazywać łaskawem bóstwem, lekko trącił łokciem Bourdoncle'a, tego nieugiętego, tę uosobioną cyfrę, któremu zazwyczaj powierzał niemiłe misye.

— Panie Albercie — powiedział tenże surowo — znowu źle adres wystawiłeś i paczka wróciła... To już nie do zniesienia!

Kasyer chciał się bronić, przywołał więc na świadka posługacza Józefa, który paczkę tę przyrządził. Józef należał także do dynastji Lhomme'ów, jako mleczny brat Alberta i miejsce swe również zawdzięczał pani Aurelii. Kiedy młodzie-

niec chciał w niego wmówić, że się pomyliła osoba kupująca, bełkotał coś, szarpał się za brodę, przedłużającą mu twarz, walcząc z sumieniem i wdzięcznością dla swych protektorów.

— Daj pokój Józefowi — krzyknął nakoniec Bourdoncle— a przedewszystkiem nie odpowiadaj! Szczęściem, mamy wzgląd na zasługi twojej matki.

Lecz w tej chwili przybiegł Lhomme. Z kasy swojej, przytykającej do drzwi, widział on kasę syna, która się znajdowała przy oddziale rękawiczek. Siwiuteńki, ociężały w skutek życia sedenteryjnego, miał twarz nalaną, bezbarwną, jakby zużytą przez blask pieniędzy, które ciągle liczył. Nic mu to nie zawadzało w tej czynności, iż miał ramię odcięte; przez ciekawość udawano się patrzeć jak zręcznie, przy sprawdzaniu rachunków, ślizgały się banknoty i monety w lewej ręce, jedynej, jaka mu pozostała. Był on synem poborcy z Chablis, i przybył do Paryża, jako pisarz, do negocyanta z Port-aux-Vins. Potem, mieszkając na ulicy Cuvier, ożenił się z córką swego odźwiernego, krawca z Alzacyi. Od tego dnia był uniozonym sługą swej żony, której zdolności handlowe imponowały mu. Pozostając przy okryciach, miała do dwunastu tysięcy franków rocznie, podczas kiedy on pobierał tylko pięć tysięcy franków pensyi stałej. Szacunek dla żony, tyle przynoszącej dla rodziny, przechodził i na syna, jako od niej pochodzącego.

— Co się tu stało? — wybąkał. — Albert znów pobłądził?

W tej chwili Mouret powrócił do swej roli łaskawcy. O ile Bourdoncle'owi chodziło o to, żeby obawę budzić, o tyle on znów chciał być popularny.

— Głupstwol — szepnął ojcu. — Mój kochany Lhomme, twój Albert to roztrzepaniec... powinien brać z ciebie przykład.

Potem, zmienił treść rozmowy i aby się jeszcze przyjemniejszym okazać, zapytał:

— Cóż, ten koncert? Dobre miałeś miejsce?

Rumieniec oblał blade lice starego kasyera. Miał on tylko jedną słabość: lubił muzykę. Tajoną tę słabość zadawałniał, biegając do teatrów i na koncerta. Pomimo amputowanej ręki, grał na trąbce, dzięki dowcipnie obmyślanym szczyptczykom. Ponieważ pani Lhomme nienawidziła hałasu, obwijał swój instrument sukniem i zachwycał się głuchemi dźwiękami, jakie z niego wydobywał. Pozbawiony prawie będąc ogniska domowego, wśród wiecznego bezładu w ich domu, wytworzył sobie z muzyki pustynię. Muzyka, pieniądze w kasie i cześć dla żony, o to wszystko co go zajmowało na tym świecie.

— O, doskonałe miałem miejsce—odpowiedział z błyszczącym wzrokiem. — Pan jesteś zbyt łaskaw!

Mouret, który miał osobistą przyjemność w zaspakajaniu namiętności, dawał Lhomme'owi cza-

sami bileta, które mu damy protektorki prawie gwałtem wciskały. Do reszty oczarował go, mówiąc:

— Ach, Beethoven! Mozart! Cóż to za muzyka!
Nie czekając na odpowiedź, dogonił Bourdoncle'a zajętego przeglądaniem oddziałów. W środkowej halli, przerobionej z zewnętrznego podwórza, które oszklono, mieściły się jedwabie. Obaj przeszli naprzód galeryę od ulicy Neuve-Saint-Augustin, gdzie się znajdowały na całej przestrzeni same białe towary. Nie znalazłszy nic do przyganienia, przeszli pomiędzy witającymi ich z uszanowaniem, subiektami. Potem zwrócili się do płócien kolorowych z Rouen i wyrobów pończoszniczych, gdzie również panował porządek. Lecz w towarach lnianych, mieszczących się wzdłuż prostopadłej galeryi od ulicy Michodière, Bourdoncle przybrał minę groźnego naczelnika, spostrzegłszy młodzieńca siedzącego na kontuarze, który był widocznie zmęczony, bezsennie spędzoną nocą. Był to Liénard, syn bogatego kupca nowości w Angers; uchylił on czoło przed uczynionem mu napomnieniem, bojąc się tylko, aby nie zmuszono go porzucić życie próżniacze bez trosk, pełne uciech i nie wyprawiono do ojca na prowincyę. Wówczas to rozmaite uwagi spadały jak grad; w galeryi od ulicy Michodière, wszczęła się prawdziwa burza: w dziale sukien, aplikant rozpoczynający zawód i mieszkający w tymże domu, powrócił dopiero po północy; w dziale wstążek

i drobnych towarów, drugiego subiekta złapano jak palid papierosa w sali sutereny. Lecz najsroższa burza wybuchła wśród rękawiczek, nad głową prawie jedyne go w sklepie paryżanina, pięknego Mignot, jak go nazywano. Był to nieprawy syn nauczycielki muzyki na arfie, opuszczony przez matkę: zrobił awanturę w jadalni, gdzie się uskarżał na złe pożywienie. Ponieważ były trzy stoły: jeden o wpół do dziesiątej, drugi o wpół do jedenastej, a trzeci o wpół do dwunastej, chciał przekonać, że należąc do trzeciego, dostawał tylko resztki i ogryzki.

— Jako pożywienie ma być niedobre? — spytał się z naiwną miną Mouret, otwierając nakoniec usta.

Płacił on po półtora franka dziennie od osoby kucharzowi, szkaradnemu owerniakowi, który potrafił na tem robić jeszcze oszczędności i pożywienie rzeczywiście było okropne. Lecz Bourdoncle wzruszył tylko ramionami mówiąc, że kucharz zmuszony wydawać codziennie czterysta śniadań i czterysta obiadów, chociażby nawet w trzech seryach, nie może się wysilać na doskonałość w swej sztuce.

— To nie nie znaczy — odpowiedział dobroduszny pryncypał — chcę, aby wszyscy moi podwładni mieli pożywienie zdrowe i obfite. Pogadam o tem z kucharzem.

Upomnienie się Mignota, zostało pogrzebane. Potem zwrócili się tam, z kąd przyszli: między pa-

rasole i krawaty. Wysłuchali sprawozdania jednego z czterech inspektorów, obowiązanych czuwać nad porządkiem w magazynie. Ojciec Jouve, dekorowany pod Konstantyną kapitan, jeszcze piękny, z dużym zmysłowym nosem, z imponującą łysiną, wskazał na aplikanta, który za prostą uwagę z jego strony, nazwał go „starą szmatą” aplikant w skutek tego natychmiast został wydalony.

Tymczasem w magazynie nikogo z kupujących nie było. Tylko gosposie z tej dzielnicy, przebiegały puste galerye. Przy drzwiach, inspektor notujący przybycia subiektów, zamknął swój regestr i na boku zapisywał opóźniających się. — Była to chwila, w której sprzedający zajmują swe miejsca w oddziałach, uprzątniętych przez chłopców o godzinie piątej. Każdy z nich umieszczał swój kapelusz i paletot, ziewając z miną jeszcze zaspaną. Jedni zamieniali z sobą słowa, spoglądali w górę, starając się wyprostować, przed rozpoczęciem całodziennego pracy; drudzy nie spiesząc się, ściągali zielone obstony, któremi z wieczora przykryli poukładane towary, stosy materij symetrycznie ułożonych zapełniały kontuarze. Cały magazyn jaśniał porządkiem i czystością, w ten spokojny i wesoły poranek, oczekując tłumu przy sprzedaży wyładowanych płócien, sukna, jedwabi i koronek.

W widnej środkowej halli, przy kontuarze jedwabi, rozmawiało dwóch subiektów. Jeden mały,

przystojny, krępy, rumiany, pracował nad doborem kolorów materyj na wystawie zewnętrznej: nazywał się Hutin i był synem utrzymującego kawiarnię w Yvetot. Potrafił w półtora roku, stać się jednym ze starszych subiektów, a to z powodu giętkiej natury i umiejętnego pochlebiania się, pod któremi ukrywał szaloną żądzę uciech.

— Posłuchaj, Favier, jabym go spoliczkował będąc na twojem miejscu, słowo honoru!—Mówił to do chłopca, chudego i żółtego. Ten urodził się w Besançon, z rodziny tkaczy i pod zimną niepowabną postacią, krył niespokojne usposobienie.

— Na nic się nie zda bić ludzi — odpowiedział z flegmą.—Lepiej zaczekać.

Obaj mówili o Robineau, który doglądał subiektów, gdy zawiadujący oddziałem był w salce suterenowej. Hutin potajemnie kopał dołki pod drugim subiektem, którego miejsce chciał osiąść. Ażeby go rozjątrzyć i zmusić do opuszczenia magazynu, skoro mu odmówią przyobiecane miejsce pierwszego subiekta, sprowadził Bouthemonta. Jednakże Robineau trzymał się mocno i ztąd wrzała nieustanna choć ukryta walka. Hutin umyślił zbuntować przeciw niemu cały oddział i pozbyć się go złem obejściem i znęcaniem się. Działał on jednak ze słodką miną; szczególnie podbudzał Fawiera, który w służbie szedł za nim i zdawał mu się ulegać.

— Cyt! siedemnaście! — powiedział szybko do kolegi, aby go uprzedzić, tym umówionym wy-

krzykiem o zbliżaniu się Moureta z Bourdoncle'm.

Rzeczywiście odbywali oni swój przegląd, przechodząc przez hallę. Zatrzymawszy się, spytał Robinea o znaczną partję aksamitu, którego pudła ułożone w stosy, zapełniały stół. Kiedy powiedział, że miejsca jest za mało, Mouret zawołał z uśmiechem:

— Mówiłem ci Bourdoncle, że magazyn jest za mały! Trzeba będzie kiedyś zwalić mury aż do pasażu Choiseul. Zobaczysz, jak będzie ciasno w przyszły poniedziałek.

Z powodu tej sprzedaży, do której przygotowywano się we wszystkich kantorach, zaczął się znowu rozpytywać Robineau i wydawać rozkazy. Lecz od niejakiego czasu, nie przerywając rozmowy, śledził okiem zajęcie Hutina, który układał materye niebieskie obok szarych i żółtych, a potem z oddalenia przyglądał się efektowi.—Nagle wmieszał się w tę robotę, mówiąc:

— Dlaczego starasz się oszczędzać oczy? Nie bój się, nie oślepisz ich, kładź obok siebie czerwony kolor, zielony, żółty!

Porwał sztuki, rzucił je, zgniótł i ułożył krzyżującą gamę. Wszyscy się na to zgodzili, że pryncypał ich jest pierwszym wystawcą w Paryżu, co prawda wystawcą rewolucyonistą, który dał początek brutalstwu i kolosalności w sztuce wystawowej. Chciał on, żeby materye tak leżały jak gdyby przypadkiem spadły z pułek; żeby po-

łyskiwały najjaskrawszemi barwami, podnosząc nawzajem swój blask. Klientki, wychodząc z magazynu, mówił on, powinny czuć ból oczu. Hutin zaś, który był klasykiem w symetrii i wyszukiwanej harmonii w odcieniach, patrzył na to wzniecanie pożaru materij leżących na stole, niepozwalając sobie wprawdzie najmniejszej przygany, lecz miną zdradzał, że jego artystyczny smak jest obrażony.

— Widzisz!—zawołał Mouret po ukończeniu—zostaw tak, powiesz mi potem, czy to przyciągało kobiety w poniedziałek.

W chwili kiedy przystępował do Bourdoncle'a i Robineau'a, nadeszła kobieta, która przez kilka chwil stała jak wryta i odurzona, przed wystawą.

Była to Dyoniza: po całogodzinnem prawie wążsaniu się po ulicy i walce z napadem lęklności, nakoniec odważyła się wejść. Tak dalece jednak straciła głowę, że nie pojmowała najzrozumialszych wskazówek. Gdy wybąkała zapytanie o panią Aurelię, a subiekci wskazywali jej wschody do antresoli na prawo, dziękowała, lecz szła na lewo. W ten sposób od dziesięciu minut kręciła się po parterze i składach, przechodząc z oddziału do oddziału pośród złośliwie zaciekawionych lub opryskliwych i obojętnych subiektów. Czuła pociąg, by uciec z płaczem, lecz z drugiej strony, zachwyty przykuwał ją do miejsca. W tych kolosalnych przestrzeniach wydawała się sobie zbłąkaną i małą. Lękała się, żeby jej nie porwała

ta maszyna spokojna jeszcze, lecz gotująca się do tak szalonego wstrząśnienia, że mury już drgały. Obraz ciasnego i ciemnego sklepu Vieil Elbeuf, jeszcze zwiększał obszary magazynu. Wydawał się on jej ozłocony blaskiem słońca, podobny do miasta pełnego pomników, placów i ulic — z pomiędzy których nigdy nie zdoła wybrnąć. Dotąd nie odważyła się wejść do halli jedwabi, lękając się wysokiego szklanego dachu, zbyt kownych kontuarów i ogólnego pozoru świątyni.

Gdy weszła nareszcie, aby się usunąć z przed oczu śmiejących się subiektów od białych towarów, trafiła właśnie na wystawę urządzoną tylko co przez Mouret'a. Pomimo zmieszania, przebudziła się w niej kobieta: policzki zaczerwieniły się jej nagle i wpatrzona w pożar barw, zapomniała o wszystkim.

— Żórawica z placu Gaillon — szepnęła Hutin do ucha Favierowi.

Mouret udawał, że słucha Bourdoncle'a i Robineau, ale w głębi duszy pochlebiał mu zachwyty tej biednej dziewczyny. Dyoniza podniosła oczy i gorzej się jeszcze zmieszała, poznawszy młodzieńca, którego wzięła za starszego subiekta. Wyobrażała sobie, że patrzy na nią surowo. Wówczas nie wiedząc jak się wycofać, do reszty odurzona, zapytała pierwszego subiekta, jaki się nadarzył, to jest Faviera stojącego w pobliżu:

— Gdzie się znajduje pani Aurelia, proszę pana?

Lecz Favier jak zwykle nieprzyjemny, sucho odpowiedział:

— Na pierwszym piętrze.

Dyoniza chcąc czempędzej uniknąć wejrzeń tych wszystkich mężczyzn, podziękowała i znowu się odwróciła od wschodów, kiedy Hutin pociągnięty wrodzoną grzecznością, pomimo że ją nazwał „zóravicą,” powstrzymał ją z jak największą uprzejmością i rzekł:

— Nie tędy, może pani zechce się tu pofatygować...

Nawet zrobił kilka kroków przed nią i doprowadził do wschodów, znajdujących się na lewo w halli, pod galeryą. Tam się uklonił z tym tkliwym uśmiechem, jaki miał na usługi wszystkich kobiet i wskazał:

— Na górze, zwróć się pani na lewo. Okrycia są nawprost.

Ta ujmująca grzeczność dotknęła Dyonizę do żywego. Była to niejako braterska pomoc. Podniosła oczy patrząc na Hutina i wszystko jej się w nim podobało: ładna twarz, spojrzenie, którego uśmiech rozpraszał jej trwogę i głos pełen kojącej słodyczy. Serce jej przepełniło się wdzięcznością, którą wyjawiała w kilku urywanych słowach, o ile zmieszanie jej na to pozwoliło:

— Pan jesteś zbyt dobry. Proszę się nietrudzić. Dziękuję po tysiąc razy.

Hutin zbliżył się do Faviera i szepnął swym ostrym głosem:

— Co za chudzizna!

Na górze dostała się Dyoniza do okryć. Była to rozległa sala z wysokimi szafami z dębu rzeźbionego, dokoła ścian; matowe okna wychodziły na ulicę Michodière. Pięć czy sześć eleganckich kobiet w jedwabnych sukniach, fryzowanych szynionach, w półkrynolinach, krzątało się, rozmawiając. Jedna z nich wysoka i szczupła, z głową za długą, mająca chód konia, który się wyrwał na wolność, stała oparta o szafę, jakby już zmęczona.

— Czy zastałam panią Aurelię? — spytała Dyoniza.

Sklepową nieodpowiadając, spojrzała wzrokiem pogardliwym z powodu jej uboższego ubrania; potem zwróciwszy się do jednej z koleżanek, małej, z brzydką białą cerą, z miną niewinną i jakoś zniechęconą, spytała:

— Panno Małgorzato, gdzie jest pierwsza sklepowa?

Ta ostatnia zajęta układaniem rotond według wielkości, nie raczyła podnieść głowy.

— Nie wiem, panno Klaro — precedziła przez zęby.

Zapanowało milczenie. Dyoniza stała nieruchoma i nikt się nią nie zajmował. Zaczekawszy chwilę, odważyła się znowu zapytać:

— Czy panie sądzą, że pani Aurelia nieprędko przyjdzie?

Wówczas druga sklepowa, chuda i brzydka, której Dyoniza jeszcze niewidziała, wdowa, z wystającymi szczękami i włosiem twardym, krzyknęła z szafy, gdzie przypinała etykiety:

— Zaczekaj pani, jeżeli z samą panią Aurelią chcesz się rozmówić.

I zwracając się do Małgorzaty, zapytała:

— Czy jej nie ma w salce sutereny?

— Nie pani Frédéric, nie zdaje mi się;—odpowiedziała panna.—Nic nie mówiła, więc musi być niedaleko.

Dyoniza po takim objaśnieniu pozostała stojąc na miejscu. Było tam kilka krzeseł dla kupujących, lecz ponieważ nieproszono, żeby usiadła, sama się na to nieodważyła, chociaż nogi pod nią drżały z pomieszania.

Widocznie te panny przeczuły w niej przyszlą sklepową, przychodzącą prosić o miejsce i wpatrywały się w nią z pod oka bez życzliwości, z głuchą niechęcią tych osób, co siedząc przy stole, nie lubią się ścieśniać dla zadowolenia apetytu nowych przybyszy. Jej zakłopotanie wzrastało, przeszła więc przez salę drobnym krokiem i zaczęła wyglądać na ulicę, dla nadania sobie kontensu. Naprzeciw okna widać było Vieil Elbeuf z zardzewiałą fasadą i zamarłemi oknami, wydał jej się tak brzydki, tak nędzny w porównaniu z życiem i zbytkiem, pośród jakich się znajdowała, że coś nakształt wyrzutu sumienia ścisnęło jej serce.

— Słuchaj!— szeptała Klara do Małgorzaty — widziałaś jej buciki?

— A suknia?— odpowiedziała tamta.

Stojąc zawsze zwrócona do ulicy, Dyoniza czuła, że ją zjadają, ale jej to nie gniewało; żadna z nich nie wydała jej się piękną, ani wysoka Klara z rudym warkoczem, spadającym na końską szyję, ani mała Małgorzata z cerą zwarzonego mleka, z powodu której, jeszcze większą zdawała się jej twarz płaska i jakby bez kości. Klara Prunaire, córka fabrykanta sabotów z lasów Vivet, przyuczona do rozpusty przez lokai pałacu Mareuil, gdzie ją hrabina brała do różnych reparacyi, przybyła później z jednego magazynu z Langres i mściła się w Paryżu na mężczyznach za to, że papa Prunaire, kopiąc ją nogami, robił sińce na biodrach. Małgorzata Vachon, urodzona w Grenobli, gdzie jej rodzina prowadziła handel płótnem, wyprawioną została do Magazynu Nowości dla ukrycia błędu, to jest dziecka, które miała przypadkiem. Prowadziła się bardzo dobrze i zamierzała wrócić do Grenobli, aby objąć zarząd nad sklepem rodziców i wyjść za czekającego na nią kuzyna.

— Ta niewiele tu zacięży — odezwała się po cichu Klara.

Lecz zamilkły, zaraz weszła bowiem kobieta, mająca około lat czterdziestu pięciu. Była to pani Aurelia: mocno zbudowana, w obcisłej czarnej jedwabnej sukni, której stanik rozdęty na wypu-

kłóścich ramion i szyi, błyszczał jak zbroja. — Miała ona włosy ciemne, oczy nieruchome, usta surowe, policzki szerokie i trochę obwisłe; w swym majestacie starszej sklepowej, nadymała twarz, czyniąc ją podobną do obrzmiałego oblicza Cezara.

— Panno Małgorzato—powiedziała ostro—nie oddałaś wczoraj do pracowni modelu płaszczyka do figury?

— Było coś do poprawienia — odpowiedziała sklepowa—i dlatego zatrzymała go pani Frédéric.

Druga sklepowa wyjęła natychmiast model z szafy i wciął się dalej tłómaczyła.

Wszystkie się przed panią Aurelią uginały gdy jej się zdawało, że musi bronić swej powagi. Była ona niezmiernie prózną, do tego stopnia, że niechciała żeby ją nazywano Lhomme, to nazwisko bowiem ją gniewało. Zapierała się stancyjki swego ojca, odźwiernego, —głosząc, że był krawcem, mającym swój sklep. Przystępną była tylko dla panien uległych, pochlebiających, okazujących jej uwielbienie. Niegdyś miała ona własną pracownię okryć, ale jej się tak niepowodziło, tak była ciągle tem rozjątrzona, że czując się zrodzoną do szczęścia, doznaje samej niedoli, iż usposobienie jej nabrało cierpkości.

Obecnie nawet, chociaż brała dwanaście tysięcy franków rocznie w Magazynie Nowości, zdawało się, iż ma złość do ludzi i dla początkują-

cych dziewcząt tak była twardą, jakimi dla niej były losy u wstępu życia.

-- Dość tej gadaniny!— rzekła sucho— ani trochę nie jesteś rozsądniejszą od innych, pani Frédéric; proszę natychmiast wziąć się do poprawienia.

Podczas tej utarczki, Dyoniza przestała patrzeć na ulicę. Domyśliła się, że ta dama jest panią Aurelią. Zalękniona jej podniesionym głosem, stała ciągle, czekając. Panny uradowane, że wywołały nieporozumienie pomiędzy starszyzną, wróciły do swej roboty, udając zupełną obojętność.

Upłynęło kilka minut, a nikt się nieulitował nad biedną Dyonizą i nie przyszedł jej z pomocą. Nareszcie pani Aurelia spostrzegła ją i widząc stojącą nieruchomo, z zadziwieniem spytała:

— Czego sobie życzy?

— Chciałabym się zobaczyć z panią Aurelią,— odrzekła.

— To ja nią jestem.

Dyonizie zaschło w ustach, ręce zlodowaciały i ogarnęła ją taka trwoga, jak w dzieciństwie, kiedy jej groziły plagi. Wybełkotała swą prośbę ale tak niewyraźnie, że musiała ją powtórzyć. Pani Aurelia patrzyła na nią swym nieruchomym wzrokiem, a imperatorskie jej oblicze, nie zdradzało najmniejszego współczucia.

— Wiele pani masz lat?

— Dwadzieścia.

— Jakto, dwadzieścia, nie wyglądasz jak na szesnaście!

Panny podniosły głowy, aby się przysłuchać badaniu. Dyoniza spiesznie dodała:

— Jestem bardzo silna.

Pani Aurelia wzruszywszy szerokiemi ramionami, zawyrokowała:

— I owszem, zapiszę cię, moja panienko, dla czego nie miałabym cię zapisać? My zapisujemy wszystkie osoby, zgłaszające się o miejsca. Panno Małgorzato, proszę podać mi registr.

Nie znaleziono go natychmiast: musiał się znajdować w rękach inspektora Jouve. Małgorzata miała pójść po niego, kiedy przyszedł Mouret, wraz z nieodstępnym Bourdoncle'm. Kończyli oni przegląd kantorów w antresolach: przeszli przez oddziały koronek, szalów, futer, towarów meblowych i bielizny, a na ostatku udali się do okryć. Pani Aurelia usunąwszy się na bok, mówiła z nimi chwilę o partyi paltotów, jaką zamówiła u jednego z hurtownych przedsiębiorców paryzkich. Zazwyczaj nabywała towary sama i na własną odpowiedzialność, lecz gdy szło o większe kupno, wołała się naradzić z zarządem. Potem Bourdoncle opowiedział jej o nowej opieszałości Alberta, w skutek czego zdawała się być zrozpaczoną:

— To dziecko mnie zabije — mówiła — wprawdzie ojciec nie jest bystry, ale przyzwoity w obejściu i uczciwy.

Cała ta dynastia Lhomme'ów, której była niezaprzeczenie głową, nabawiała ją nieraz kłopotu.

Mouret, zadziwiony że znów spotyka Dyonizę, nachylił się, aby zapytać panią Aurelię czego ta panienska chce? Gdy mu odpowiedziała, że prosi o miejsce sklepowej, Bourdoncle ze zwykłą wzgardą dla kobiet, zdawał się być oburzony tą pretensją.

— Co znowu, to ohyba żarty — szepnął. — Za brzydka jest na to.

— Rzeczywiście, nie ma w sobie nic ładnego — odezwał się Mouret, nie śmiejąc jej bronić, chociaż nie zapomniał jeszcze jej zachwyty na dole, wobec wystawy.

W tej chwili przyniesiono registr; pani Aurelia zwróciła się więc do Dyonizy. Biedaczka ta nie mogła zrobić dobrego wrażenia, chociaż była bardzo schludna, w swej lichej wełnianej czarnej sukience; nie uważano na ubóstwo toalety, dostarczany tam był bowiem ogólny mundur, to jest suknia jedwabna, ale wydawała się bardzo wątlą i miała twarz smutną. Chociaż nie była w magazynie wymaganą piękność, chciano jednak mieć miłe osoby do sprzedawania. Pod wejrzeniem tych pań i panów, którzy ją badali i oceniali jak klacz targowaną przez chłopów na jarmarku, Dyoniza straciła resztki śmiałości.

— Imię pani? — spytała pani Aurelia.

— Dyoniza Baudu.

— Wiek?

— Dwadzieścia lat i cztery miesiące.

Ośmielając się podnieść oczy na Moureta, mniemanego starszego subiekta, z którym się ciągle spotykała i na którego widok mieszała się jeszcze bardziej, powtórzyła:

— Nie wyglądam na to, ale jestem bardzo silna.

Wszyscy się uśmiechnęli. Bourdoncle niecierpliwie oglądał sobie paznogie. Słowa te pokryte zostały nie zachęcającem milczeniem.

— W jakim domu byłaś pani w Paryżu? — zapytała pani Aurelia.

— Ja przybyłam z Valognes.

Była to nowa przeszkoda. Zazwyczaj Magazyn Nowości wymagał, aby panny przebywały poprzednio cały rok w jednym z mniejszych magazynów w Paryżu. Dyoniza miała wszystko za stracone i gdyby nie wzgląd na dzieci, na potrzebę zarobku dla nich, byłaby uciekła,—żeby położyć koniec temu daremnemu badaniu.

— U kogo pani byłaś w Valognes?

— U pana Cornaille'a.

— Znam go, porządny dom, — odezwał się Mouret.

Nie wdawał się on nigdy w ugodę sklepowego personelu, zawiadujący oddziałami bowiem, na własną odpowiedzialność dokonywali tego, ale znając doskonale kobiety, odczuwał w tej dziewczynie wdzięk ukryty i tkliwość, których sama

była nieświadomą. Dobre imię pierwszego miejsca pobytu, miało tam wielką wagę i często stanowiło o przyjęciu. Pani Aurelia ciągnęła dalej łagodniejszym głosem:

— Dlaczego pani opuściłaś Cornaille'a?

— Z powodu interesów familijnych — odpowiedziała mocno czerwieniąc się. — Straciliśmy rodziców, musiałam więc pójść za braćmi. Zresztą oto jest świadectwo.

Było ono doskonałe, zaczynała więc mieć nadzieję; — ale ostatnie pytanie wprowadziło ją w kłopot.

— Na kogo jeszcze możesz się pani powołać w Paryżu? Gdzie mieszkasz?

— U mego stryja — wyszeptala, ociągając się z wymienieniem nazwiska z obawą, że sobie nie będą zyczyli synowicy współzawodnika. — U mego stryja Baudu, tu naprzeciwno.

Mouret wdał się po raz drugi w rozmowę:

— Jaktol jesteś pani synowicą Baudu! Czy to on cię tu przysyła?

— O! wcale nie!

Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, tak jej się ta myśl wydała zabawną. To ją przeistoczyło: stała się różową, a uśmiech na zbyt szerokich nieco ustach, był jakby rozkwitem całej twarzy. Szare jej oczy błysły tkliwym płomieniem, na policzkach zjawily się zachwycające dołki, nawet

plowe włosy zdawały się ożywione miłą i swobodną wesołością jej całej istoty.

— Ależ ona jest ładna! — rzekł po cichu Mouret do Bourdoncle'a.

Towarzysz zaprzeczył temu znudzonym gestem. Klara przygryzła usta, Małgorzata zaś odwróciła się plecami. Jedna tylko pani Aurelia, zdawała się być pozyskaną i potakiwała Mouretowi głową, gdy się odezwał:

— Źle zrobił stryj, że pani sam nie przyprowadził: jego rekomendacya starczyłaby za wszystko. Powiadają, że ma żal do nas; ale myśmy lepsi i kiedy nie może dać swej synowicy zajęcia u siebie, pokażemy mu, że dosyć jej było zapukać do nas, aby została przyjętą. — Proszę mu oświadczyć, że go zawsze bardzo kocham i że nie powinien narzekać na mnie, ale na nowe warunki w handlu. — Powiedz mu pani i to, że się ostatecznie zgubi, jeżeli się będzie upierał przy starych przesądach.

Dyoniza na nowo zbladła. A więc to jest Mouret? Nikt nie wymienił jego nazwiska, lecz on sam zdradził się. Zgadywała teraz i rozumiała, dla czego ten młodzieniec wywarł na niej takie wrażenie: najpierw na ulicy, potem w oddziale jedwabi i teraz znowu. To wzruszenie, którego nie mogła pojąć, coraz więcej ją przytłaczało, jakby zbyt wielki ciężar. Przychodziły jej na myśl wszystkie historye opowiadane przez stryja i po-

tęgowali Moureta, otaczając go legendą, czyniąc go panem olbrymiej maszyny, której koła porывały ją mimowoli od rana. Po za jego piękną głową, z wypielęgnowaną brodą, z oczami koloru starego złota, widziała panią Hédouin, krwią swoją brocząca, kamienie tego domu. Ogarnęło ją zimno jak poprzedniego wieczoru i sądziła, że się go lęka po prostu.

Pani Aurelia zamknęła regestr, potrzebowała ona jednej tylko sklepowej, a było już dziesięć zapisanych. Ale nadto pragnęła dogodzić pryncy-pałowi, aby się tem krępować. Jednakże podług przyjętego zwyczaju, inspektor Jouve, miał zasięgnąć wiadomości, poczem sama pani Aurelia miała zawyrokować.

— Wszystko już skończone, moja panno — powiedziała majestatycznie dla zachowania powagi — będziesz zawiadomioną.

Przez chwilę jeszcze zakłopotana Dyoniza pozostała na miejscu. Nie wiedziała którą nogą stąpać, pośród tylu osób. Nakoniec podziękowała pani Aurelii i przechodząc koło Moureta i Bourdoncle'a ukloniła im się. Lecz ci zapomniawszy już o niej, nie odклонili się nawet, zajęci będąc przyglądaniem się modelowi okrycia do figury; z panią Frédéric. Klara skrzywiła się, patrząc na Małgorzatę, jak gdyby chciała przepowiedzieć, że nowa panna nie zazna wielkich przyjemności w swoim oddziale. Dyoniza musiała odczuć tę

obojętność i tę niechęć dla siebie, zeszła bowiem ze wschodów równie zmieszana jak wchodziła. Dręczył ją niepokój: czy ma rozpaczać, czy się cieszyć, że się tam udała, czy może liczyć na miejsce? Tego nawet nie wiedziała już teraz, tak dalece straciła tam przytomność. Ze wszystkich wrażeń, dwa się utrzymały i zwolna zacierały inne: wpływ, jaki na nią wywierał Mouret, głęboki aż do przestרחu i grzeczność Hutina, jedyna uciecha doznana tego ranka, która ją przepelniła wdzięcznością. Powracając przez magazyn, szukała tego młodzieńca, chcąc mu podziękować choćby tylko wejrzeniem i nie ujrzawszy go zamuciała się.

— Cóż, udało się pani? — zapytał wzruszony głos, gdy już była na chodniku.

Obejrawszy się, poznała tego wielkiego blade-go chłopca, który ją z rana zaczepił. On również wychodził z Magazynu Nowości i był jeszcze więcej od niej zakłopotany, wskutek przebytego badania.

— Niewiem, doprawdy— odpowiedziała.

— Tak samo jest ze mną, oni w szczególny jakiś sposób patrzą na człowieka i mówią do niego. Ja byłem w oddziale koronek, wychodzę od Crevecoeur, z ulicy Mail.

Stali znowu naprzeciwko siebie i nie wiedząc jak się rozstać, rumienili się. Potem młodzieniec ażeby coś jeszcze powiedzieć, przez zbytek nie-

śmiałości zapytał ze swoją załęknioną ale dobroduszną miną:

— Jak się pani nazywa?

— Dyoniza Baudu.

— A ja się się nazywam: Henryk Deloche.

Uśmiechnęli się do siebie i ulegając pobratymstwu swego położenia, wyciągnęli ku sobie ręce.

— Dobrego powodzenia!

— Tak, dobrego powodzenia!

ROZDZIAŁ III.

Co sobotę, od czwartej do szóstej, pani Desfor-
ges, częstowała filizanką herbaty z ciasteczkami
blizkich znajomych, którzy przychodzili w od-
wiedziny. Zajmowała lokal trzeciego piętra na
rogu ulic Rivoli i d'Alger; okna obu salonów wy-
chodziły na ogród Tuileryjski.

Właśnie tej soboty, kiedy lokaj miał go wpro-
wadzić do wielkiego salonu, spostrzegł Mouret
z przedpokoju przez otwarte drzwi panią Desfor-
ges, przechodzącą przez mały salonik. Zatrzyma-
ła się ujrawszy go i wszedł tamtędy oddając jej
ceremonialny ukłon. Ale gdy lokaj zamknął za
sobą drzwi, schwycił żywo jej rękę i ucałował ją
z czułością.

— Strzeż się, mam gości, powiedziała po cichu,
wskazując na drzwi wielkiego salonu. Wysłałam
po ten wachlarz, żeby go im pokazać.

Końcem wachlarza, lekko uderzyła go po twa-
rzy. Była to brunetka, trochę za tęga, z ogrom-
nemi zazdrośnemi oczyma. Nie wypuszczając jej
ręki, spytał:

— Przyjdzie?

— Niezawodnie, odpowiedziała, obiecał mi.

Oboje mówili o baronie Hartmanie, dyrektorze Kredytu Nieruchomego. Pani Desforges, córka radcy stanu, była wdową po agencie giełdowym, który jej pozostawił majątek, zaprzeczany przez jednych a przesadzany przez drugich. Jeszcze za życia męża, jak mówiono, okazywała wdzięczność baronowi Hartmanowi, gdyż rady wielkiego finansisty, przynosiły im wielkie korzyści; później zaś po śmierci męża, stosunek ten musiał dalej istnieć, lecz zawsze z wielką oględnością i bez rozgłosu. Pani Desforges nie skompromitowała się nigdy; przyjmowano ją w wyższych sferach burżuazyi, do której z urodzenia należała. Nawet dziś, kiedy namiętność bankiera, człowieka subtelnego i sceptyka, przechodziła w proste ojcowskie przywiązanie, jeżeli sobie pozwalała mieć kochanków, których tolerował, w porywach serca i żądzach kobiecych które zaspakajała bez skrupulatnego wyboru, umiała zachować taką miarę i tak delikatny takt, że wszelkie pozory były zachowane. Nikt o jej poczciwości nie śmiał powątpiewać głośno. Spotkawszy się u wspólnych znajomych z Mouretem, z początku nienawidziła go; potem mu się oddała, jakby porwana natarczywą jego miłością. Odkąd zaczął manewrować, ażeby przez nią pozyskać barona, dała się powoli porwać prawdziwemu i głębokiemu uczuciu; kochała go z gwałtownością kobiety lat

trzydziestu pięciu, chociaż się tylko do dwudziestu dziewięciu przyznawała. Rozpaczwała że był od niej młodszy i truchlała z obawy, by go nie-utracić.

— Czy uwiadomiony?

— Nie, sam mu pan wyjaśnisz tę rzecz, odpowiedziała, przestając mówić do niego „ty”.

Patrzyła na niego myśląc że chyba nie wie o niczem, kiedy ją chce za narzędzie użyć i wyraźnie okazuje, że go ma tylko za starego jej przyjaciela. Mouret trzymał ją wciąż za rękę i nazywał swoją dobrą Henryetą, czuła więc, że jej serce mięknie. W milczeniu wyciągnęła usta i przycisnęła je do jego ust; potem rzekła po cichu:

— Cyt! czekają na mnie. Wejdz za chwilę.

Słabe głosy dochodziły z wielkiego salonu, przygłuszone przez obicia ścian. Otworzyła drzwi pozostawiając je otwarte na oścież i podała wachlarz jednej z czterech pań, siedzących na środku pokoju.

— Proszę, oto jest, powiedziała. Szukałam go długo; moja garderobiana, nigdyby go nie znalazła.

Obracając się, dodała ze swoją wesołą miną:

-- Bądź pan łaskaw wejść, panie Mouret, przez mały salonik, to będzie mniej uroczyście.

Mouret powitał damy, znane mu dobrze. Salon z meblami à la Louis XVI, krytymi brokatelą w duże bukiety, brzozy złocone i bujne krzewy,

nosił na sobie cechę kobiecej tkliwości i serdeczności, pomimo wysokiego sufitu. Przez dwa okna, dawały się widzieć kasztany ogrodu Tuileryjskiego, z których wiatr październikowy liście unosił.

— Ależ to wcale nie brzydkie Chantilly, zawołała pani Bourdelais, trzymając wachlarz.

Była to mała blondynka lat trzydziestu, z delikatnym noskiem i żywym okiem; Henryety koleżanka z pensyi, która wyszła za naczelnika wydziału w ministeryum finansów. Pochodząc ze starej mieszczańskiej rodziny, prowadziła dom i wychowywała troje dzieci gorliwie, z wdziękiem i głębokiem poczuciem życia praktycznego.

— I zapłaciłaś za ten kawałek dwadzieścia pięć franków? zapytała rozpatrując każde oczko koronki. Powiadasz, że to z Luc, od robotnicy z tamtych stron? Nie, nie, to wcale nie drogie... Ależ musiałaś dać oprawić.

— Rozumie się; odpowiedziała pani Desforges; oprawa mnie kosztuje dwieście franków.

Pani Bourdelais, zaczęła się śmiać.

— Moja Henryeto, jeżeli się to nazywa kupić za bezcen... dwieście franków za tę prostą oprawę z kości słoniowej i cyfrę! i to dla kawałka koronki, na którym oszczędziłaś jakie sto sous! Taki sam wachlarz możesz wszędzie dostać za sto dwadzieścia pięć franków, w oprawie. Wymieniła sklep na ulicy Poissonnière.

Tymczasem wachlarz przechodził z rąk do rąk. Pani Guibal, za ledwie raczyła rzucić okiem. Była ona wysoka i szczupła; włosy miała rude, twarz martwą; w szarych jej oczach, chwilami pod powłoką obojętności, dawały się widzieć przebliski strasznych żądź i samolubstwa. Nigdy jej niewidziano w towarzystwie męża, który był adwokatem, znanym w Pałacu Sprawiedliwości. Mówiono, że pędzi życie wolne, całkiem oddane aktom i uciechom.

Zwracając wachlarz pani de Boves, szepnęła ona z niechcenia:

— Ja, odkąd żyję nawet dwóch nie kupiłam... zawsze się tego za dużo dostaje...

Hrabina odpowiedziała na to złośliwie:

— Szczęśliwaś, że masz tak grzecznego męża.

I nachylając się do córki, wysokiej panienci mającej lat dwadzieścia i pół, rzekła:

— Przyjrzyj się cyfrze, Bianco, jaka piękna robota... Ta cyfra musiała podnieść cenę oprawy.

Pani hrabina de Boves miała przeszło lat czterdzieści. Była to majestatyczna kobieta, mająca tors bogini, twarz dużą, regularną i wielkie sennie oczy. Mąż jej, główny inspektor stad rządowych, zaślubił ją dla piękności. Zdawała się być zachwycona delikatnością cyfry, jakby porwana żądzą, od którego to wzruszenia wzrok jej przyćmiewał się. Nagle powiedziała:

— Panie Mouret, powiedz nam swoje zdanie: czy to drogo, dwieście franków za oprawę?

Mouret stał przed pięciu damami, uśmiechając się, że je to tak zajmuje. Wziął wachlarz i przypatrywał mu się; w chwili kiedy miał wypowiedzieć swe zdanie, lokaj oznajmiał przybycie pani Marty.

Weszła osoba chuda, brzydka, zeszpecona ospą, ale ubrana z wykwintną elegancją. Trudno było jej wiek oznaczyć: miała lat trzydzieści pięć, lecz można było sądzić, że ma czterdzieści lub trzydzieści, według zgorączkowania nerwowego, jakiemu ulegała. Worek z ponsowej skóry miała przewieszony na prawej ręce.

— Kochana pani wybaczysz, że wchodzę z workiem, powiedziała do Henryety. Wyobraź sobie, idąc tu, wstąpiłam do Magazynu Nowości i znowu dopuściłam się niedorzecznych zbytków. Nie chciałam pozostawić tam na dole, w dorożce, żeby kto nie ukradł.

Spostrzegłszy Moureta, ciągnęła dalej śmiejąc się:

— Ach, nie miałam na celu robić panu reklamy, bom nie wiedziała, że tu jesteś. Masz pan obecnie koronki nadzwyczajnej piękności.

Ta nowa wizyta odwróciła uwagę od wachlarza, który młodzieniec położył na stole. Panie pałały teraz ciekawością ujżenia sprawunków pani Marty. Znano jej namiętność trwonienia pieniędzy i bezsilność wobec pokusy. Była zbyt surową i moralną, by mieć kochanka, ale widok najmniejszego strzępka, natychmiast pozba-

wiał ją siły i woli. Ojciec jej był urzędnikiem, wyszła zaś za profesora lyceum Bonaparte—i tak go rujnowała, że dla podwojenia pensyi (sześciu tysięcy franków), musiał biegać za prywatnemi lekcyami, bo inaczej nie podołałby wzrastającym wydatkom domowym. — Ale nie otwierała worka; ściskając go na kolanach, mówiła o córce, czternastoletniej Walentynie, największej swojej chlubie. Zarówno jak siebie tak i ją stroiła we wszelkie modne nowości, mające dla niej nie zwalczony pociąg.

— Jak panie wiecie, tej zimy ubierają suknie młodych pańienek koronką, więc gdym zobaczyła bardzo ładną Valenciennes...

Zdecydowała się nakoniec odemknąć worek. Damy powyciągały szyje, lecz w tej chwili usłyszano odgłos dzwonka w przedpokoju.

— To mój mąż, powiedziała pani Marty, zmieszana, obiecał wstąpić po mnie, gdy wyjdzie z Lyceum.

Prędko zamknęła worek i mimowolnym ruchem schowała go pod fotel. Wszystkie panie roześmiały się. Wstyd jej był tego pośpiechu, więc znowu wzięła worek na kolana, tłómacząc się, że mężczyźni na tem się nie znają, nie ma zatem potrzeby im się opowiadać.

— Pan de Boves i pan de Vallagnosc, oznajmił lokaj.

Przyjście to spowodowało zadziwienie. Sama pani de Boves wcale nie liczyła na przybycie mę-

za. Był to piękny mężczyzna z wąsami i bródką impériale, z miną wojskowego eleganta, jaką lubiono w Tuilleries.

Pocałował w rękę panią Desforges, którą znał jeszcze młodziutką w domu jej ojca; poczem usunął się, aby jego towarzysz — wysoki, dystyngowanej bledkości młodzieniec, mógł z kolei powitać panią domu. . . Lecz zaledwie rozmowa rozpoczęła się na nowo, dały się słyszeć dwa okrzyki:

— To ty, Pawle?

— Ależ to Oktaw!

Mouret i Vallagnosc ściskali się za ręce. Teraz pani Desforges okazała zadziwienie.

— Więc się panowie znają?

— Jakto, wzrosliśmy razem w kolegium w Plasans; i tylko wypadek zrządził, żeśmy się dotąd u pani nie spotkali.

Nie wypuszczając rąk z uścisku, przeszli wśród żartów do małego saloniku, w chwili kiedy lokaj, przyniósłszy na srebrnej tacy chiński serwis do herbaty, postawił go przed panią Desforges, na stoliku, z lekką brązową galeryjką. Damy zbliżyły się do siebie i głośniejsz rozmawiały, całkiem oddane krzyżującym się słowom. Pan de Boves stojąc za niemi, schylał się czasem i szepnął jaką grzeczność, z wykwinną galanterią wyższego urzędnika. Wielki ten salon tak miły i wesoło umeblowany, ożywił się jeszcze bardziej szczebiotem tych pań, śmiechem przerywanym.

— Ach, mój kochany Paweł powtarzał Mouret.

Usiadł obok Vallagnosc'a na kanapie. Sami będąc w głębi saloniku, czyli raczej bardzo wytwornego buduaru, z meblami krytymi jedwabną materią koloru *bouton d'Or*, dalecy od obcych uszu i widząc damy tylko przez otwarte drzwi, gawędzili zartobliwie, wpatrując się w siebie, z lekka uderzając jeden drugiego po kolanie. Odżywiły się w nich wspomnienia młodości: stare kolegium w Plassans, dwa podwórza, klasy wilgotne, jadalnia, gdzie się tak dużo jadało dorsza i sypialnia, w której latały poduszki z łóżka na łóżko, skoro tylko usnął dozorca. Paweł, pochodził z rodziny z dawna zasiadającej w parlamencie i należącej do drobnej zrujnowanej i wiecznie niezadowolonej szlachty. Odznaczał się on zdolnościami; zawsze był pierwszym i stawianym za przykład przez profesora, który przepowiadał mu wielką przyszłość. Oktaw zaś, należał do ostatnich w klasie, gnił pomiędzy negusami, zadowolony i tłusty, oddając się po za murami kolegium, gwałtownym rozrywkom. Pomimo różnicy usposobień, łączyła ich ścisła koleżeńska przyjaźń: byli prawie nierozłączni, aż do egzaminów na bakalarzy, z których wywiązali się jeden z chwałą a drugi zaledwie jako tako i to po dwóch nieudanych próbach. Porwani wirem życia, spotkali się dopiero teraz, po upływie lat dziesięciu, zmienieni i podstarzali.

— Powiedź mi, odezwał się Mouret, co robisz, jakieś się pokierował?

— Wcale się nie pokierowałem.

Vallagnosc pomimo radości ze spotkania, zachował wyraz twarzy zmęczony i rozczarowany; a kiedy przyjaciel trochę zdziwiony, nalegał na niego, mówiąc:

— Musisz jednak coś robić... Cóż ty robisz?

— Nic, odpowiedział tenże.

Oktaw się roześmiał. Nic, to nie dosyć. Słowo po słowie dowiedział się na koniec całej historii Pawła, historii zwyczajnej w chłopcu bez majątku, któremu się zdaje, iż ze względu na ród, powinien się trzymać profesyj liberalnych; zagrzebuje się więc w małostkowej mierności, szczęśliwy, jeśli przynajmniej nie mrze z głodu, z pełną szufladą dyplomów. Ukończył on kursa prawne, tak jak to nakazywała tradycya familijna; potem zaś stał się ciężarem matki swej, wdowy, która i bez tego nie mogła sobie dać rady z dwiema córkami. Nakoniec wstyd go ogarnął i opuścił te trzy kobiety, pozostawiając im resztki skromnego mienia, a sam zajął podrzędne miejsce w ministerjum spraw wewnętrznych, gdzie się krył jak kret w norze.

— I cóż ty zarabiasz? spytał Mouret.

— Trzy tysiące franków.

— Ależ to nędza! O biedny mój kolezko, żal mi cię bardzo. Czy to podobna... chłopiec taki silny, który nas wszystkich walił! I dają ci tylko trzy tysiące franków, ogłupiają cię już od lat pięciu? Co za niesprawiedliwość!

Tu zrobił zwrot do siebie :

— Co do mnie, grzecznie ich pożegnałem. Wiesz na com wyszedł?

— Wiem, rzekł Vallagnosc. Mówiono mi, że prowadzisz handel. To twój, ten wielki sklep na placu Gaillon, nieprawda?

— Tak jest. Perkaliki, mój kolezko!

Mouret podniósł głowę i znowu uderzył go po kolanie, wesóło, z miną tęgiego zucha, nie wstydzającego się swego rzemiosła, rzekł:

— Perkaliki, tak... tak! Musisz pamiętać, że mi się z nauką nie wiodło... Chociaż nie miałem siebie przez to za głupszego od innych. Gdy zdobył bakaloreat, dla zadośćuczynienia mojej rodzinie, mogłem z łatwością zostać adwokatem lub doktorem, jak inni koledzy; lecz obawiałem się tych profesyj, spotykając tyłu z nich bez sposobu do życia. Wówczas to porzuciłem do diabła osłą skórę, wierzaj mi, że bez żalu i rzuciłem się do handlu.

Vallagnosc uśmiechnął się z zakłopotaną miną i wybąkał:

— Twój dyplom bakalarski na mało ci się pewno przydał, przy sprzedawaniu płótna.

— Nie dbam o te, odpowiedział Mouret wesóło, byleby tylko nie zawadzał, to już dosyć. A wiem dobrze, że skoro się ma tę kulę u nogi, trudno jej się pozbyć. Idzie się z nią przez życie powoli jak zółw; podczas gdy inni, mający wolne nogi, lecą jak na skrzydłach.

Zauważywszy, że sprawia przykrość przyjacielowi, wziął go za rękę i mówił dalej:

— Wierzaj mi, że cię nie chcę zasmucać; ale przyznaj, że twoje dyplomy nie zadowolniły żadnej z twych potrzeb... Wiesz ty, że mój starszy subiekt, z oddziału jedwabnych materyj, zarobił w tym roku dwanaście tysięcy franków! Tak, chłopiec to z bardzo trzeźwą głową, który ograniczył się na ortografii i czterech działaniach. Zwyczajni subiekci zarabiają po trzy tysiące franków, więcej od ciebie, a ich edukacja nie kosztowała tyle co twoja; nie byli puszczeni w świat z obietnicą na piśmie, że go podbiją. Nie przeczę, że zarabianie pieniędzy nie stanowi jeszcze wszystkiego... Jednak z pomiędzy uzbrojonych w naukę biedaków, którzy się pchają do profesyj liberalnych, nie jedząc do syta, a ludźmi praktycznymi, przygotowanymi do życia, znającymi do gruntu swe rzemiosło, wybieram bez wahania tych ostatnich, bo według mnie, są to zuchy, którzy doskonale pojęli ducha czasu. Głos mu się ożywił, stawał się coraz wymowniejszy. Henryeta nalewając herbatę, obróciła głowę; gdy spostrzegł, że się uśmiecha w głębi salonu i zauważył, że dwie inne panie przysłuchują się, sam zaczął żartować ze swych frazesów.

— Słowem, mój kolezko, każdy poczynający dziś od perkaliku, pachnie milionerem.

Vallagnosc rozłożył się wygodnie na kanapie. Przymrużył oczy, przybierając minę zmęczoną

i wzdurliwą, w której widać było pewną przesadę obok rzeczywistego wyczerpania rasy.

— Ba! powiedział, życie nie jest warte tylu zabiegów. Nie ma w niem nic zabawnego.

Ponieważ oburzony Mouret patrzył na niego z głębokiem zdziwieniem, dodał:

— Może się stać wszystko, albo nic. Więc na jedno wychodzi: czekać z założonemi rękami.

Wyspowiadał się ze swego pesymizmu, z mierności i niepowodzeń swego życia. Chwilowo marzyłem o literaturze, lecz ze stosunku z poetami, pozostała mi jakaś ogólna rozpacz. Zawsze spostrzegałem w końcu bezużyteczność wysiłków, nudę powodowaną czczą i jednostajną egzystencją i ostateczną głupotą ludzką. Uciechy, zawodzą i nawet w czynieniu źle nie ma się przyjemności.

— Powiedz mi, czy ty się bawisz? zapytał nagle.

Mouret osłupiał z oburzenia i wykrzyknął:

— Jakto, czy się bawię? Cóż ty wygadujesz? Jużes do tego doszedł, mój kochany? Ależ naturalnie że się bawię, nawet kiedy mi się nie wie dzie, bo wówczas się wściekam na ten stan rzeczy. Ja bo należę do namiętnych, nie biorę życia ze spokojnej strony i to mnie może do niego przywiązuje.

Rzuciwszy okiem na salon, zniżył głos:

— Niektóre kobiety dały mi się we znaki, przyznaję, ale jak mi która wpadnie w ręce, to ją

trzymam do dyabła i nie zawsze doznaję zawodu... wierzaj mi, że potrafię korzystać. Zresztą, kobiety nie stanowią wszystkiego, bądź co bądź, kpię sobie z nich... Główna rzecz: chcieć, działać, stwarzać... Masz ideę, walczysz o nią, młotem wbijas ją ludziom w głowy, widzisz jak rośnie, zwycięża... O, tak mój przyjacielu—ja się bawię!

Cała radość przywiązania do czynu, cała wesołość istnienia, dźwięczała w tych słowach. Powtórzył raz jeszcze, że jest dziecięciem swego wieku... Prawdziwie, rzekł, trzeba być źle zbudowanym, mieć mózg i członki w stanie chorobliwym, żeby się usuwać od działalności, w czasie kiedy jest tak wiele do zrobienia, kiedy cała społeczność dąży do urządzenia przyszłości szczęśliwszej. Wyśmiewał zrozpaczonych, przesyconych, pesymistów, wszystkich chorujących na nasze początkujące nauki; przybierających płaczliwe miny poetów lub zarozumiałych sceptyków, pośród ogromnego warsztatu tegoczesnego. Piękna rola, właściwa i inteligentna: poziewać z nudów wobec ludzi, którzy pracują.

— Jednakże to moja jedyna przyjemność, poziewać wobec wszystkich, powiedział Vallagnosc uśmiechając się, ze swym chłodnym wyrazem twarzy.

W mgnieniu oka gwałtowność Moureta uśmierzyła się; stał się nanowo serdecznym:

— Ach, kochany Paweł, zawsze ten sam, zawsze paradoksalny. Ależ nie spotkaliśmy się

na to, żeby się kłócić: każdy na szczęście, ma swoje wyobrażenia. Muszę ci jednak pokazać moją maszynę w ruchu; zobaczysz, że to nie taka głupia rzecz. Powiedzże mi teraz, co słyhać o twojej rodzinie. Mam nadzieję, że matka i siostry zdrowe? Czy prawda, że przed rokiem miałeś się ożenić w Plassans?

Gwałtowne poruszenie Vallagnosc'a, powstrzymało go; i ponieważ rozglądał się on niespokojnie po salonie, Mouret odwrócił się także i spostrzegł, że panna de Boves, nie spuszczała ich z oczu. Wysoka i tęga, Bianka podobną była do matki, tylko że jej twarz już się rozlewała, grube rysy rozdymały się, brzydła od tycia. Paweł na dyskretne pytanie, odpowiedział:

— Nie ma jeszcze nic stanowczego i może nic z tego nie będzie. Poznałem pewną młodą osobę u pani Desforges, gdzie często bywał przeszłej zimy, lecz obecnie rzadko się tam zjawiam i dla tego dotąd nie spotkałem się z tobą. Teraz państwo de Boves przyjmują mnie u siebie; najbardziej lubię ojca, człowieka bardzo miłego, starego hulakę, który pobiera emeryturę z administracji. Zresztą nie mają żadnego majątku, pani de Boves, prócz piękności Junony, nie przyniosła nic w posagu mężowi. Rodzina ta żyje ubogo, z ostatniego folwarku zahypotekowanego. Na szczęście, do szczupłych z niego dochodów, przybyło dziewięć tysięcy franków, pobieranych przez pana hrabiego, jako głównego inspektora stad. Obie panie:

matka i córka, strasznie są krępowane w wydatkach przez ojca, oddającego się miłośkom poza domem; czasami zmuszone bywają same prze-rabiać sobie suknie.

— A więc, cóż ci potem? — spytał naiwnie Mouret.

— Trzebaż raz skończyć, — odpowiedział Val-lagnosc, poruszeniem powiek, wyrażając zmę-czenie.

— Przytem są nadzieje, czekamy na łaski ja-kiejś ciotki.

Jednakże Mouret, który wciąż przyglądał się panu de Boves, siedzącemu obok pani Guibal, z miną człowieka w czułych zalotach, odwrócił się do kolegi i mrugnął tak znacząco, że ten po-wiedział:

— Nie, nie ta... jak dotąd przynajmniej. Na nie-szczęście służba powołuje go na cztery rogi Fran-cyi, na stacye ogierów i dla tego ma pozory, do ciąglego znikania... W przeszłym miesiącu, kie-dy żona pewną była, że jest w Perpignan, on tymczasem mieszkał w hotelu z nauczycielką muzyki, w głębi jakiejś oddalonej dzielnicy.

Przez chwilę trwało milczenie. Potem młodzie-niec, który zaczął także śledzić umizgi hrabiego do pani Guibal, rzekł po cichu:

— Daję słowo, że masz rację: tem więcej, że jak powiadają, ta dama wcale nie jest srogą. Sły-chać o niej śmieszłą historję z oficerem. Ale patrzno, jak komiczna z niego figura, stara się ją

magnetyzować z pod oka. To stara Francya, mój kochany! Uwielbiam tego człowieka i będzie mógł śmiało powiedzieć, że jedynie dla niego, jestem gotów ożenić się z jego córką.

Mouret śmiał się, tak go to wszystko bawiło. Wypytywał znowu Vallagnosc'a i gdy się dowiedział, że pierwsza myśl ożenienia go z Bianką, pochodziła od pani Desforges, historya ta jeszcze więcej mu się podobała. Tej dobrej Henryecie sprawiało to przyjemność, jako wdowie kojarzyć z sobą młodzież, a to do takiego stopnia, że wydawszy za mąż pannę, pozwalała ojcu jej wybrać kochankę z pośród swych przyjaciółek. Lecz przytem pozory przyzwoitości były tak dalece przestrzegane, że świat nie mógł upatrywać skandalu. Mouret kochał ją, ale jako człowiek czynny i ruchliwy, przyzwyczajony obliczać swe czułości, zapominał wszelkich rachub dedukcyi i miał dla niej przyjaźń koleżeńską,

Właśnie zjawiła się na progu saloniku a za nią szedł starzec, mający około lat sześćdziesięciu, którego wejścia nie spostrzegli dwaj przyjaciele. Panie podnosiły niekiedy głosy, zmieszane z brzękiem łyżeczek w chińskich filiżankach; słychać też było czasami pośród krótkiego milczenia stuknięcie filiżanki zbyt mocno postawionej na marmurowym stolyczku. Niespodzianie promienie zachodzącego słońca, które się ukazało z pod czarnej chmury, ozłociły szczyty kasztanów w ogrodzie i wpadły przez okno w postaci pyłku czer-

wonego złota, od światła którego, płonęły brokateła i brzozy u mebli.

— Tędy, kochany baronie — mówiła pani Desforges. — Przedstawiam ci pana Oktawa Moureta, który gorąco pragnie wynurzyć baronowi głębokie swoje uwielbienie.

Zwracając się do Oktawa, dodała:

— Pan baron Hartmann.

Na ustach starca dawał się widzieć lekki i znaczący uśmiech. Był to człowiek mały i krzepki, z dużą głową alzacą: mięsistą jego twarz rozjaśniał płomień inteligencji, za najmniejszym poruszeniem ust i mrugnięciem powiek. Od dwóch tygodni opierał się życzeniom Henryety, proszącej go o to widzenie, nie przez silną zazdrość, bo jako człowiek rozumny, zrezygnował się na rolę ojca, ale Henryeta zaznajamiała go z trzecim już przyjacielem, lękał się więc trochę śmieszności. — Z tej to przyczyny zbliżył się do Oktawa z dyskretnym uśmiechem bogatego opiekuna, który chociaż uprzejmy w obejściu, nie da się wystrychnąć na dudka.

Mouret z prowansalskim entuzjazmem zawołał:

— Ach! panie, jakże zdumiewającą była ostatnia operacja Kredytu Nieruchomego! Szanowny pan nie uwierzy, jak szczęśliwy jestem, że mogę mu uścisnąć rękę.

— Pan jesteś zbyt łaskaw... zbyt łaskaw — powtarzał baron, uśmiechając się ciągle.

Henryeta przyglądała mu się swem jasnym okiem, bynajmniej niezakłopotana. Stała pomiędzy nimi, podnosiła swą ładną główkę i przechodziła od jednego do drugiego. Ślicznie wyglądała w koronkowej sukni, odsłaniającej delikatną szyję i ramiona. Nakoniec rzekła:

— Odchodzę, żebyście panowie swobodnie rozmawiali.—Zwróciwszy się zaś do stojącego wciąż Pawła dodała: — Wypijesz pan filiżankę herbaty, panie de Vallagnosc?

— Chętnie, dziękuję pani.

Oboje powrócili do salonu.

Skoro baron Hartmann usiadł, Mouret na nowo zajął swoje miejsce na kanapie i powtórzył pochwały, oddawane operacyom Kredytu Nieruchomego. Potem przystąpił do przedmiotu, o który mu w głębi serca najbardziej chodziło, to jest do przedłużenia ulicy Réaumur, gdzie miała powstać nowa sekcyja dzielnicy pod nazwą ulicy Dziesiątego Grudnia, pomiędzy placem Giełdy i placem Opery. Pożytek publiczny tej nowej sekcyi pozyskał zatwierdzenie od półtora roku i sąd przysięgłych do oznaczenia wynagrodzeń za wywłaszczenia był zanominowany. Cała dzielnica była rozgorączkowaną, z powodu zamierzonego przebicia ulicy, wyczekiwała rozpoczęcia robót, interesowała się skazanemi na zagładę domami. Mouret blisko od trzech lat, wyglądał tych robót: najpierw w przewidywaniu większego ruchu w interesach, a potem dla powiększenia swych składów,

które to ambitne marzenie przybrało tak wielkie rozmiary, że nieśmiało się z niem odzywać głośno. Ponieważ ulica Dziesiątego Grudnia miała przeciąć ulicę Choiseul i Michodière, widział już jak „*Bonheur des Dames*” zajmie cały grunt okolony temi ulicami i ulicę Neuve-Saint-Augustin; projektował fasadę pałacową, wychodzącą na nową ulicę a siebie władcą górującym nad zawojowaniem miastem. Ztąd tak gorąco zapragnął poznać barona Hartmanna, dowiedziawszy się, że Kredyt Nieruchomy, skutkiem umowy zawartej z administracją, podjął się przeciąć i przeprowadzić ulicę Dziesiątego Grudnia, pod warunkiem, że mu oddane będą na własność grunta pobrzeżne ulicy.

Udając naiwność powtarzał:

— Doprawdy, oddacie im panowie ulicę gotową, z kanalizacją, chodnikami i gazem. A czy wartość gruntów nadbrzeżnych, pokryje wszystkie wasze koszta? Ciekawa rzecz! ciekawa!

Nakoniec przystąpił do najdrażliwszego przedmiotu: dowiedział się on, że Kredyt Nieruchomy, potajemnie skupował domy; sąsiadując z Magazynem Nowości, nie tylko te co miały paść pod oskardami robotników, lecz i inne, które miały pozostać nienaruszone. Odgadywał on w tem projekt jakiegoś zakładu i truchlał o wymarzone rozszerzenie swego magazynu. Ogarniała go trwoga, że się może potknie o jakie potężne towarzystwo, władające nieruchomościami, których

niezawodnie ustąpić nie zechce. Właśnie ta obawa skłaniała go do śpiesznego zawiązania stosunków z baronem, a kobieta miała być pomiędzy nimi łącznikiem, gdyż ona łączy najściślej ludzi obdarzonych romansową naturą. Wprawdzie mógłby się zobaczyć z tym finansistą w jego gabinecie, żeby się dokładnie rozmówić o grubym interesie, jaki mu chciał zaproponować, ale się czuł silniejszym u Henryety, wiedział o ile wspólne posiadanie kobiety zbliża i roztkliwia. Powodzenie zdawało mu się pewne, jeżeli się znajdować będą u niej, owiani jej ulubioną atmosferą, blisko tej, która ich zawsze przekonać potrafi, mocą swego uśmiechu.

— Czyście panowie nie zakupili domu, dawniej Duvillard'ów, tej starej rudery, w mojem sąsiedztwie?—zapytał wreszcie niespodzianie.

Baron Hartmann wahał się chwilę, potem zaprzeczył. Ale Mouret patrząc mu w oczy, roześmiał się i od tej chwili odgrywał rolę dobrego chłopca, otwartego i łatwego do interesów.

— Kiedy niespodzianie mam zaszczyt widzieć tu pana barona, muszę mu się wypowiedzieć — rzekł:—O, ja nie będę żądał w zamian pańskich tajemnic: zwierzę się tylko z mojemi w tem przekonaniu, że nie mógłbym ich oddać w pewniejsze ręce... Zresztą potrzebną mi jest pańska rada; przez nieśmiałość tylko nie przyszedłem dotąd prosić o nią pana barona.

Rzeczywiście wypowiedział się: opowiedział wstęp do swojej kariery, nie skrywał nawet kryzysu finansowego, przez jaki przechodził wśród swych tryumfów. Wszystko opisał: stopniowy rozrost handlu, zyski ciągle wkładane w interes, sumy mniesione przez podwładnych, zachwianie egzystencji za każdą większą wyprzedazą, z powodu, że cały kapitał stawiał na jedną kartę.

— Jednakże nie żądałbym pieniędzy— dodał— gdyż fanatycznie wierzę w moją klientelę, ambicja moja wyżej sięga: oto proponuję panu baronowi stowarzyszenie, w któremby Kredyt Nieruchomy postawił kolosalny gmach, o jakim marzę, ja zaś z mej strony ofiarowałbym swój geniusz komercyjny i kapitał już wytworzonego handlu. Obliczylibyśmy dochody i realizacja, o ile się zdaje, byłaby bardzo łatwą.

— Jakiż użytek panowie zrobicie z tych gruntów i nieruchomości?—pytał nalegająco.— Musicie mieć jakieś plany; ale jestem pewien, że mój lepszy... Pomyśl pan o tem. Budujemy na tych gruntach galerię bazarową, burzymy lub pozostawiamy nieruchomości i otwieramy sklepy najobszerniejsze w całym Paryżu, słowem bazar, który nam miliony przyniesie.

Następujący okrzyk wyrwał mu się potem z serca:

— Ach! gdybym ja się mógł obejść bez panów! Ale wy teraz trzymacie wszystko w swem ręku. Prócz tego, nie miałbym potrzebnego kapitału.,.

Musimy się porozumieć, inaczej byłoby to zabójstwem!

Baron Hartmann odrzekł:

— Jakiś pan gorący! Co za wyobraźnia!

Kiwał głową, uśmiechał się, nie myśląc się odpłacić zwierzaniem za zwierzanie. Kredyt Nieruchomy miał w projekcie, wybudowanie na ulicy Dziesiątego Grudnia hotelu, współzawodniczącego z Grand Hôtelem; miał to być zakład wspaniały, który dzięki położeniu w centrum miasta, przyciągałby cudzoziemców. Zresztą, ponieważ miał zajmować tylko pobrzeżne grunta, baron mógł zgodzić się na pomysł Moureta i wejść z nim w układy co do reszty domów na placu i tak jeszcze ogromnym. Ale już był wziął w opiekę dwóch przyjaciół Henryety i zaczynała mu się przykrzyć rola wspaniałomyślnego protektora. Przytem, pomimo silnego pociągu do energicznej działalności, skutkiem której otwierał swą kasę wszystkim młodzieńcom inteligentnym i rzutkim, komercyjny geniusz Moureta raczej go zdumiewał, aniżeli budził w nim sympatyę. Może ten olbrzymi magazyn był przedsiębiorstwem opartem na fantazyi i nierozwadze? Może tak nadzwyczajne rozwinięcie handlu nowości, grozi ruiną? Słowem, przejęty niedowierzaniem, odmówił.

— Zapewne, pomysł ten może być dobry... tylko że... nie ma realnych podstaw. Zkądże pan weźmiesz klientelę, dla zapelnienia takiej katedry?

Mouret patrzył na niego przez chwilę w milczeniu, jak gdyby osłupiał po tej odmowie. Czy podobna, człowiek z takim węchem, czujący pieniądze w najskrytszych głębiach? Nagle, ruchem wielkiego mówcy, wskazał na damy siedzące w salonie, wołając:

— Oto moja klientela!

Słońce traciło już swe blaski, pył z czerwonego złota obrócił się w blade światło, zamierające w jedwabnym obiciu ścian i mebli. Ten zapadający zmrok, napełniał salon serdecznem jakimś ciepłem. Podczas gdy p. de Boves i Paweł de Valagnosc rozmawiali przy jednym z okien, wpatrzeni w rozległy ogród, panie skupiły się na środku pokoju, robiąc ze swych spódnic ciasne koło, z którego wydobywały się szeptane wyrazy, pytania i odpowiedzi ogniste, zdradzające namiętność kobiety do wydatków i gałganków. Rozmawiały o strojach; pani de Boves opisywała toaletę balową.

— Spód jedwabny, koloru popielatego, a na nim falbany ze starych koronek d'Alençon, szerokie na trzydzieści centymetrów.

— Czy podobna! — przerwała pani Marty. — Istnieją więc tak szczęśliwe kobiety?

Baron Hartmann, który powiódł okiem w ślad za ruchem ręki Moureta, przyglądał się tym paniom przez drzwi otwarte na oścież. Przysłuchiwał im się jednym uchem, podczas gdy młodzieniec rozogniony chęcią przekonania, stał się jesz-

cze bardziej otwartym, tłómaczył mechanizm nowego handlu nowościami.

— Handel ten obecnie oparty jest na ustawicznym i szybkim odnawianiu kapitału, który trzeba kłaść w towary, jak najczęściej w ciągu roku. Mój kapitał, naprzykład, wynoszący tylko pięć kroć sto tysięcy franków, cztery razy został obrócony i wyprodukował dwa miliony obrotu. Zresztą, choćby się obrócił jeszcze dwa razy więcej, to tylko drobnostka, rzekł, bo jestem pewien, że na niektórych artykułach, obrócę kapitałem piętnaście i dwadzieścia razy.— Czy pan baron zrozumiał, że cały mechanizm na tem polega? To bardzo prosta myśl, ale trzeba było na nią trafić. Nie potrzebujemy wielkich kapitałów nakładowych, głównie o to idzie, żeby się jak najprędzej pozbyć kupionych towarów i zastąpić je innemi, bo za każdym razem kapitał przynosi odpowiedni procent. W ten sposób możemy się zadawałniać bardzo małemi odsetkami. Ponieważ ogólny nakład wynosi olbrzymią sumę szesnaście od sta, a my nie liczymy na przedmiotach więcej niż dwadzieścia procent zysku, jest zatem korzyści najwyżej cztery procent, ale w końcu uczyni to miliony, jeżeli będzie się operowało znaczną ilością towarów, ciągle odnawianych... Wszakże pan baron rozumie... nie prostszego...

Baron znowu kiwał głową. On, który przystawał niegdyś na kombinacje najzuchwalsze i którego dowody odwagi z czasów oświetlania Paryża

gazem przytaczano dotąd jeszcze, trwał ciągle w niepokoju i uporze.

— Rozumiem, sprzedajesz pan tanio — powiedział — żeby sprzedać dużo; a sprzedajesz dużo, bo sprzedajesz tanio... Tylko idzie o to, żeby sprzedawać... więc raz jeszcze zapytam: komu sprzedawać będziesz? Jakiemi środkami spodziewasz się pan podtrzymywać taką kolosalną sprzedaż?

Nagły wybuch głosu wydobywającego się z salonu, przeszkodził objaśnieniom Moureta. To pani Guibal wolałaby falbany z koronek d'Alençon ułożone w kształcie fartuszka.

— Ależ moja droga — mówiła pani de Boves — fartuszek także jest niemi przykryty. Nigdy w życiu nie widziałam nic tak wspaniałego!

— Podsuwasz mi dobrą myśl — odezwała się pani Desforges — już mam kilka kawałków d'Alençon... Muszę dokupić, żeby mieć cały garnitur.

Głosy przycichły, wydając tylko szepty, pełne pieśzcoty, rozkoszy, uniesień. Cyfry brzmiały, żądze wzmagaly się i panie całemi garściami nabywały koronki.

Gdy się nareszcie Mouretowi udało przemówić, rzekł:

— Kto umie sprzedawać, ten sprzedaje co chce! W tem nasz tryumf!

Z werwą południowca, w ognistych i plastycznych słowach, przedstawił następnie obraz nowego handlu. Zaczął od dowodzenia, że wielką jest

potęgą, gromadzenie towarów w jednym punkcie, gdyż się nawzajem podpierają i wartość swoją podnoszą. W ten sposób nigdy nie ma braku; zawsze są na zawołanie przedmioty odpowiednie do pory; klientka przechodzi z kantoru do kantoru: tu kupuje materye, tam nici, tam znów okrycie, ubiera się: napotyka rzeczy, których nie szukała, ulega pokusie na widok przedmiotów ładnych i zbytecznych... Potem wychwalał oznaczenie ceny w zrozumiałych cyfrach. Z tego wynalazku zrodził się wielki przewrót w handlu nowościami. Handel starej daty, kramarski dlatego dogorywa, że nie może wytrzymać konkurencyi wywołanej przez markę ceny. Obecnie konkurencya odbywa się w oczach publiczności; przechadzka koło wystaw stanowi o wysokości cen, bo każdy sklep je obniża i zadawalnia się jak najmniejszym procentem. Nie ma oszustwa, ani wielkich zysków obliczanych jak dawniej na sprzedaniu jakiego materiału dwa razy drożej niż wart był, są to operacye zwyczajne, procent jednakowo pobierany na każdym przedmiocie. Kapitał włożony w dobrze funkcjonującą sprzedaż, czyni ją tem szerszą, że się odbywa jawnie. Nie jestże to cudowny pomysł? Zrobił on przewrót w handlu i przeistacza Paryż, bo złożony z ciała i krwi kobiety.

— Mając kobietę, drwię sobie z reszty! — zawołał z naiwną otwartością, pod wpływem namiętnego uniesienia.

Ten wykrzyknik widocznie zachwiał barona. Uśmiechając się już bez ironii, przyglądał się młodzieńcowi, który z wolna pociągnął go siłą przekonania i zaczął w nim nawet budzić sympatyę.

— Ciszej!—szepnął po ojcowsku—gotowe pana usłyszeć.

Ale te panie mówiły wszystkie razem i z takim zapałem, że nawet jedna drugiej nie słuchały, pani de Boves kończyła opis toalety wieczorowej: tunika z popielatej materyi, drapowana i podpinana kokardami z koronki; stanik mocno wycięty a na ramionach także kokardy koronkowe.

— Zobaczycie panie — mówiła — robią mi taki stanik z atlasu...

— A ja—przerwała pani Bourdelais—chciałam z aksamitu...

— Po czemu materye?—zapytała pani Marty.

Odtąd wszystkie głosy odzywały się razem, pani Guibal, Henryeta, Bianka nawet targowały, kupowały, krajały. Było to rabowanie materyj, grabienie magazynu, żądza przepychu objawiająca się w toaletach pobudzających do zazdrości i do marzeń. Tyle szczęścia dawały im te gałganki, że się w nich pogrążały, jak w ciepłym powietrzu potrzebnem do ich życia.

Mouret rzucił okiem na salon i w kilku frazesach, wyszeptanych do ucha baronowi, jak gdyby robił mu zwierzenia miłosne, zdarzające się niekiedy pomiędzy mężczyznami, kończył tłumaczyć mechanizm wielkiego handlu nowożytnego. Wte-

dy po nad faktami, które już przytoczył, na szczycie, zjawilo się wyzyskiwanie kobiety. Wszystko do tego dąży: kapitał ciągle odnawiany, system gromadzenia towarów, taniość przyciągająca, marka w zrozumiałych cyfrach, która budzi zaufanie. O kobietę współzawodniczą magazyny swoją konkurencyą, kobietę łowią w sidła wyprzedazami, odurzywszy ją w pierwszej świetnej wystawą. Rozbudzają w jej ciele nowe żądze, wystawiają na ogromną pokusę, której fatalistycznie ulega; zaczyna od sprawunków koniecznych dla starannej gospodyni, potem ją ogarnia szalony pociąg do przepychu, nareszcie całkiem ją pozera. Powiększając w dziesięćkroć sprzedaż, uprzystępniając zbytek, podniecają dzisiejsi kupcy do wydatków, wyniszczają rodziny, obmyślają mody szalone i coraz droższe. U nich kobieta wprawdzie jest królową, otoczoną pochlebcami którzy dogadzają wszelkim jej słabościom, otaczają względami; ale panuje ona jako królowa rozkochana, którą podwładni frymarczą i która opłaca kroplą krwi, każdą swą zachciankę. Nawet pod wdziękiem miłosnej natury Mouret zdradzał nizkie uczucia żyda, sprzedającego kobietę na funty. Wznosił jej świątynię, kazał jej palić kadzidła całej rzeszy subiektów, stwarzał rytuał nowej religii, myślał tylko o niej, bezustanku starał się o nowe dla niej pokusy, a gdy wypróżnił jej kieszeń i rozdrażnił nerwy, pełen był tajonej

wzgardy, właściwej mężczyźnie, gdy kobieta jest tak niedorzeczną, że mu się odda.

— Posiądź pan kobietę — rzekł do barona, śmiejąc się zuchwale, — a sprzedasz świat cały.

Baron zrozumiał go teraz; wystarczyło kilka frazesów: resztę zaś odgadywał. To wyzyskiwanie kobiet, rozogniało go i odezwał się w nim dawny hulaka. Pomrugiwał znacząco oczami i z uwielbieniem zaczął spoglądać na twórcę tej maszyny do pochłaniania kobiet. Doznał pewnego wrażenia, ale doświadczenie życia natchnęło go słowy, które już wypowiedział Bourdoncle.

— Zobaczysz pan, że się odpłaca.

Mouret wzruszył tylko ramionami z piorunującą pogardą:

— Wszystkie do mnie należą, są moją własnością — rzekł — ja zaś nie oddaję się żadnej. Gdy wyciągnę z nich majątek i rozkosz, rzucę je w kąt, dla tych, co będą jeszcze mogli czerpać z nich życie!

Była to wyrozumowana wzgarda południowca i spekulanta.

W końcu zapytał:

— Cóż, kochany panie, zwiążesz się ze mną? Czy interes tyczący się gruntów zdaje ci się możliwy?

Baron nawpół zwalczony, niechciał się jeszcze zobowiązywać. Pomimo uroku Moureta coraz trudniej mu było powziąć postanowienie. Właśnie miał dać wymijającą odpowiedź, kiedy nalegające

wołania pań, uwolniło go od niej. Wśród wybuchów śmiechu odzywały się głosy:

— Panie Mouret! Panie Mouret!

Nierad z tej przerwy, udawał że nie słyszy, ale pani de Boves, stojąca już od niejkiej chwili, zbliżyła się aż do drzwi od saloniku, mówiąc:

— Wzywają tu pana, panie Mouret... To nie bardzo grzecznie, chować się po kątach i rozprawić o interesach.

Wtenczas zdecydował się, udając takie rozradowanie, upojenie, że się baron wydziwić nie mógł. Obaj podnieśli się i przeszli do salonu.

— Ależ ja jestem na usługi pań, rzekł, wchodząc z uśmiechem na ustach.

Przyjęto go z okrzykami tryumfu. Musiał zbliżyć się jeszcze bardziej: panie zrobiły mu pomiędzy sobą miejsce. Słońce tylko co zaszło po za drzewa ogrodu, zmrok zapadał, cień powoli ogarniał obszerny pokój. Była to tak zwana szara godzina, chwila cicha i błoga w mieszkaniach paryzkich, kiedy światło dzienne znika, a lamp służba jeszcze nie rozpałała. Panowie de Boves i Vallagnosc, stojący ciągle przy oknie, rzucali sobą cień na dywan; pan Marty, który wszedł z cicha przed chwilą, stał nieruchomo, a światło wdzierające się jeszcze przez drugie okno, padało na jego nędzny profil, tużurek wytarty ale czysty i profesorską bladą twarz. Rozmowa pań o strojach, wzburzyła go do reszty.

— Czy ta wyprzedaż z pewnością odbędzie się w poniedziałek? Zapytała właśnie pani Marty.

— Tak pani, — odrzekł Mouret, śpiewnym aktorskim głosem, jakim zwykle przemawiał do kobiet.

Tu odezwała się Henryeta :

— Rozumie się, że wszystkie pójdziemy. Podobno przygotowujesz pan ouden...

— O, cuda... — szepnął z udaną skromnością — staram się tylko zasłużyć na pań zadowolenie.

Ale one zaczęły go zarzucać pytaniami. Pani Bourdelais, pani Guibal, nawet Bianka, chciały się czegoś więcej dowiedzieć.

— Prosimy o szczegóły, powtórzyła nalegająco pani de Boves. Pan nas skazujesz na śmiertelne męki.

Otoczyły go wszystkie. Wtem Henryeta przypomniała sobie, że nie pił jeszcze herbaty. Ogólne było zmartwienie i cztery damy zaczęły mu usługiwać, byleby im odpowiedział później. Henryeta nalewała, pani Marty trzymała filiżankę, podczas gdy pani de Boves i pani Bourdelais współubiegały się o zaszczyt włożenia cukru. — Gdy nie chciał usiąść, tylko stojąc pomiędzy nimi, zaczął pić powoli, wszystkie zbliżyły się i zamknęły go w ciasnym kole swych sukien. Z głową do góry podniesioną, z okiem błyszczącym, uśmiechały się do niego.

— Cóż to za materya *Paris Bonheur*, o której wszystkie pisma głoszą? niecierpliwie zapytała pani Marty.

— O, to coś niezwykłego: *faille gros grain* miękka... zobaczycie ją panie... ale tylko u nas, bośmy ją kupili na wyłączną własność.

— Doprawdy? Piękna materya — po pięć franków i sześćdziesiąt centymów, zawołała pani Bourdelais z zapalem. To nie do uwierzenia!

Ta materya, odkąd ją zaczęto reklamować, zajmowała dużo miejsca w ich codziennem życiu. Mówiły o niej i oczekiwały jej, dręczone żądzą i powątpiewaniem. Pod ciekawą gadatliwością, jaką zamęczały Moureta, przebijał się ich temperament, jako kupujących: pani Marty, przejęta szalem do wydatków, brała wszystko w Magazynie Nowości bez wyboru, co tylko zobaczyła na wystawie, pani Guibal przechadzała się tam godzinami nie kupując, poprzestając na rozkosznem uraczeniu oczu. Pani de Boves, której niedostawało pieniędzy, ciągle dręczona jaką żądzą, przechodzącą jej środki, miała żal do towarów, których nie mogła zabrać; pani Bourdelais, rozsądna i praktyczna mieszcza, chodziła tylko na wyprzedaże i tak umiejętnie korzystała z wielkich magazynów, jako dobra gospodyni i wolna od gorączki, że umiała zawsze na swych sprawunkach, poczynić znaczne oszczędności; nareszcie Henryeta, wielka elegantka, kupowała tam tylko niektóre przedmioty... jako to: rękawiczki, pończosznicze wyroby i grubszą bieliznę.

— Mamy jeszcze inne towary, zadziwiająco tanie i piękne, mówił dalej Mouret swym śpiewnym

głosem. Zalecam paniom, nasze *Cuir-d'Or*, materję z niezrównanym połyskiem. Między materjami fantazyjnymi, są przesłiczne desenie, wybrane z pośród tysiąca przez naszego komisan'ta; co się zaś tycze aksamitu, znajdziecie panie najbogatszy zbiór cieni. Uprzedzam, że będą nosić dużo sukna tego roku. Zobaczycie panie nasze *matelassés*, nasze *szewioty*.

Już mu nie przerywały, cisnęły się tylko bardziej, z ustami nawpół otwartemi do niepewnego uśmiechu, z twarzą przybliżoną, wyciągniętą, jakby oddawały całą swą istotę kusicielowi. Oczy im bladły, lekki dreszcz przechodził po karkach. On zaś zachowywał spokój zwycięzcy, pośród odurzających woni, jakie się z ich włosów wydobywały. Pomiędzy frazesami, popijał zwolna herbatę, której zapach zagłuszał inne silniejsze wonie, przypominające dzikie zwierzęta. Baron Hartmann nie spuszczał go z oczu, podziwiał go coraz bardziej, widząc do jakiego stopnia ten kusiciel, panuje nad sobą. i jak silny jest, kiedy tak igra z kobietą, nieulegając upajającym jej wdziękom.

— Więc będą nosić sukno? odezwała się znów pani Marty, a zniszczona jej twarz, wypiękniała pod wpływem namiętności do strojów. Muszę to zobaczyć...

Pani Bourdelais, której oko pozostało jasnym i spokojnym, rzekła:

— Wszakże resztki wyprzedane będą we czwartek u pana? Zaczekam, bo muszę dziatwę moją przyodziać.

Zwróciwszy potem, delikatną blond główkę do gospodyni, zapytała:

— Ty się zawsze ubierasz u Sauveur?

— Tak, — odrzekła Henryeta — Sauveur jest bardzo droga, ale ona jedna w Paryżu potrafi zrobić stanik. Zresztą cokolwiekby mówi pan Mouret, u niej desenie są najładniejsze i nie spotyka się takich gdzieindziej, a nie lubię widzieć na każdej kobiecie takiej sukni, jak moja.

Mouret z początku uśmiechał się dyskretnie, potem dał do zrozumienia, że pani Sauveur u niego kupuje materiały, nie przeczę rzekł, że może brać niektóre desenie wprost od fabrykantów, zabezpieczając sobie wyłączną własność, ale czarne materye naprzykład, kupuje wielkimi partjami u mnie na wyprzedazy, a potem bierze za nie trzy lub cztery razy drożej.

— Jestem przekonany, że z jej poręki, rozchwytane będzie *Paris Bonheur*. Dla czego miałyby w fabryce płacić za nią drożej, a niżeli zapłaci u nas? Daję paniom słowo, że my tę materyę ze stratą sprzedamy.

Tem dobił już panie. Myśl, że nabędą towar z jego stratą, bardziej je podniecała; kobiety bowiem kupują z podwójną rozkoszą, gdy im się zdaje, że okradają kupca. Wiedział on, że się nie będą mogły oprzeć urokowi taniaści.

— Ależ my wszystko za bezcen sprzedajemy, zawołał wesoło, biorąc z po za siebie wachlarz pani Desforges, leżący na stoliczku. Naprzykład ten wachlarz, nie wiem co kosztuje...

— Chantilly dwadzieścia pięć franków a oprawa dwieście, — odezwała się Henryeta.

— Koronka niedroga, chociaż my taką mamy po ośmnaście franków. Co się zaś tycze oprawy, kochana pani, to haniebna grabież. Podejmuję się mieć takie same po dziewięćdziesiąt franków.

— Czy nie mówiłam? — zawołała pani Bourdelais.

— Dziewięćdziesiąt franków szepnęła de Boves, doprawdy, trzeba być bez grosza, żeby się tego wyrzec.

Wziąwszy do ręki wachlarz, nanowo mu się przyglądała, wraz ze swoją córką Bianką. Na jej dużej regularnej twarzy i w wielkich sennych oczach, przebijała się powstrzymywana lecz szalona żądza, której nie mogła zadowolnić. Wachlarz powtórnie przechodził z rąk do rąk, pośród uwag i wykrzyków. Panowie de Boves i Vallagnosc odstępili od okna. Podczas gdy pierwszy z nich stanął znowu za panią Guibal, pozerając okiem jej kibić, młodzieniec ze swoją miną pretensjonalną i zarozumiałą nachylił się ku Biance, starając się zdobyć na jakie uprzejme słówko.

— Prawda pani, że trochę smutno wygląda ta biała oprawa przy czarnej koronce?

— Ja widziałam wachlarz z perłowej konchy i z piór białych, coś tak dziwaczno! odrzekła poważnie, bez rumieńca na swej nalanej twarzy.

Pan de Boves, który musiał dojrzeć rozpaczliwe spojrzenia żony rzucone na wachlarz, wmieścił się do rozmowy:

— Te fraszki łatwo się łamią.

— Ach! nie wspominaj pan o tem, rzekła pani Guibal, ruda piękność, przybierając obojętną minę. Już mi się tak sprzykrzyło dawać moje do sklejaniania...

Od niejkiej chwili pani Marty, bardzo podniecona rozmową, gorączkowo przewracała woreczek z czerwonej skóry na kolanach. Dotąd nie mogła pokazać swych sprawunków; paliła ją chęć wydobycia ich: była to niejako potrzeba zmysłowa. Naraz, zapomniawszy o mężu, otworzyła woreczek i wyjęła zeń kilka metrów wąskiej koronki nawiniętej na tekturze.

— To ta Valenciennes dla mojej córki, rzekła, ma trzy centymetry... śliczna jest, prawda? Po franku i dziewięćdziesiąt...

Koronka przechodziła z rąk do rąk. Panie wydawały okrzyki. Mouret zapewniał, że sprzedaje te wąskie garniowania po cenie fabrycznej. Pani Marty zamknęła worek, z taką miną, jak gdyby chciała schować rzeczy, których się nie pokazuje. Widząc że się koronka tak bardzo podobała, nie wytrzymała, żeby nie wydobyć jeszcze chustki do nosa.

— A ta chusteczka... to aplikacja brukselska, moja droga, za bezcen... dwadzieścia franków!

Odtąd worek był niewyczerpany. Rumieniła się z radości, stawała się coraz ładniejszą, coraz bardziej zmieszana za każdym wydobytym przedmiotem. Wstydziła się, jak kobieta zdejmująca z siebie ubranie sztukę po sztuce. Była tam krawatka z hiszpańskiej blondyny za trzydzieści franków.

— Nie chciałam jej, ale subiekt przysięgał, że to ostatnia i że podrożeją.

Była też woalka Chantilly.

— Trochę za droga, pięćdziesiąt franków; jeżeli jej nie będę nosiła, to zrobię co dla córki.

— Ach, koronki, to taka ładna rzecz! — powtarzała ze swym nerwowym śmiechem. Jak się znajdę pośród nich, zakupiłabym sklep cały.

— A to co? — zapytała pani de Boves, oglądając kawałek gipiury.

— To wstawka... jest dwadzieścia sześć metrów, po franku, słyszane to rzeczy?

— Doprawdy? — odezwała się pani Bourdelais z zadziwieniem. Cóż myślisz z tego zrobić?

— Słowo daję, nie wiem... ale deseń taki mi się wydał zabawny.

Podniosłszy oczy w tej chwili, spostrzegła na przeciwko sobie, przerażonego męża. Zbladła jeszcze bardziej, cała jego postać wyrażała zrezygnowaną rozpacz biednego człowieka, który jest świadkiem trwonienia jego honoraryj, tak drogo

okupowanych. Każdy nowy kawałek koronki był dla niego klęską, pochłaniał gorzkie dni poświęcone profesorskim wykładom, bieganinie wśród błota po lekcjach. Ciągłe wyczerpywanie sił żywotnych, które prowadziło go tylko do ukrytej nędzy, do piekła jakim jest niedostatek w domu. Na widok wzrastającego pomieszania w jego oczach, chciała czempredzej schować chusteczkę, woalkę, krawatkę i gorączkowo je chwyciła, powtarzając z przymuszonym śmiechem:

— Mąż gotów mnie łajać moje panie. Wierzaj, mój drogi, zem dała dowód wielkiej wytrzymałości... była tam duża chustka za pięćset franków, ach, cudowna!

— Dla czegożeś jej nie kupiła? rzekła spokojnie panie Guibal, pan Marty jest wzorem galanterii.

Profesor musiał się uklonić, zapewniając, że jego żona może robić, co jej się podoba. Ale na myśl, że mu groziło niebezpieczeństwo tej dużej chustki, zimno przeszło go po grzbiecie. Ponieważ w tej chwili właśnie Mouret utrzymywał, że nowe magazyny wzmagają dobrobyt domów średniej klasy, rzucił nań spojrzenie straszne, jakby błyskawicę nienawiści człowieka lęklivego, który nie śmie dusić ludzi.

Niewypuszczając z rąk koronek upajały się niemi panie. Sztuki rozwijały się, przechodziły od jednej do drugiej, zbliżając je bardziej jeszcze z sobą i łącząc je cieniuchnemi niemi. Trzymając

je na kolanach, pieściły tę delikatną tkaninę, grzesznemi niejako rękami. Więziły one Moureta coraz ciasniej, zarzucając go nowemi pytaniami. Z powodu zmierzchu, musiał chwilami dotykać brodą ich włosów, aby się przyjrzeć jakiemuś deseniowi. Ale w tem miękkim, rozkosznem półświecie, w tem powietrzu przesyconem wyziewami z ich ramion, pozostawał jednak ich panem pomimo udawanego zachwycenia. Zdawało się im, że jest kobietą i były przeniknione, owładnięte jego subtelną znajomością najgłębszych ich tajników: dla tego też opanowane przez niego, zachowywały się z zupełną swobodą. On znowu, czując, że odtąd trzyma je w swej zależności, panował nad nimi brutalnie, jakby despotyczny król gałganów.

— Ach! panie Mouret! panie Mouret! szeptały omdlałe głosy w ciemnościach salonu.

Ostatnie błyski dziennego światła gasły na bronzach mebli. Tylko koronki bielily się jak śnieg na ciemnych kolanach tych pań, które otaczając bezładnie młodzieńca, wyglądały jakby klęczące w koło niego dewotki. Jeden jeszcze płomyk świecił się pod imbrykiem, światełko małe i żywe jakby lampki nocnej w alkowie... lecz nagle lokaj wszedł z dwiema lampami, kładąc koniec czarom. Salon ukazał się widny i wesoły: Pani Mąry składała koronki do woreczka. Pani de Boves jadła babę, Henryeta zaś, która się

podniosła, w zagłębieniu okna rozmawiała z baronem.

— Czarujący jest, — rzekł baron.

— Nie prawda? — zawołała mimowolnie, zdradzając się ze swem uczuciem.

Uśmiechnął się i spojrzał na nią z ojcowską pobłażliwością. Pierwszy to raz widział ją tak zakochaną. Miał on zbyt wiele wyższości, żeby nad tem boleć, doznawał więc tylko współczucia, widząc ją w ręku tego zucha tak tkliwego, a zarazem tak nawskroś zimnego. Mając sobie za obowiązek ostrzedz ją, żartobliwym tonem szepnął:

— Bądź ostrożną, moja droga, on was wszystkie pochłonie.

Płomień zazdrości błysnął w pięknych oczach Henryety. Musiała zrozumieć, że Mouret po prostu użył ją za narzędzie, dla zbliżenia się do barona. Poprzysięgła sobie, że musi szaleć za nią, on, którego miłość wiecznie śpieszącego się człowieka, miała lekki wdzięk piosenki, rzuconej na cztery wiatry. Udając, że także żartuje, odpowiedziała:

— Zazwyczaj kończy się na tem, że jagnię pochłania wilka.

Słowa te, tak zabawiły barona, że przytakiwał jej głową. Może ona jest tą kobietą, która ma pomścić inne? — myślał.

Mouret przypomniał Vallagnoscowi, że mu chce pokazać swoją maszynę w ruchu; poczem przystąpił do barona, żeby go pożegnać, lecz ten

go zatrzymał przy oknie, wychodzącym na ogród pogrążony w ciemnościach. Uległ on nareszcie kusicielowi i uwierzył mu, przyjrząwszy mu się pomiędzy temi paniami. Rozmawiali po cichu przez chwilę, poczem baron odezwał się:

— Rozejrzę się w tej sprawie i... przyprowadzę ją do skutku, jeżeli poniedziałkowa wyprzedaż, weźmie taki obrót, jak pan mniemasz.

Uścisnęli się za ręce i Mouret z rozradowaną miną wyszedł, bo nie smakował mu obiad, jeżeli wieczorem nie rzucił okiem na przychód w Magazynie Nowości.

ROZDZIAŁ IV.

Owego poniedziałku, dziesiątego października, jasne słońce przebiło się przez szare chmury, które od tygodnia brzemienne deszczem, posępną postać nadawały Paryżowi. Przez całą noc jeszcze mżyło, walając ulice, ale o świcie, ostry wietrzyk usunął chmury i osuszył chodniki; a błękitne niebo było wesołe i przejrzyste, jakby na wiosnę.

To też Magazyn Nowości od ósmej godziny, jaśniał przy promieniach tego złotego słońca, w całej chwale wielkiej swej wyprzedaży nowości zimowych. Chorągwie powiewały u drzwi, sztuki wełnianej materji trzepotały się wśród świeżego porannego powietrza, ozywając plac Gaillon, jakby gwarną zabawą pod gołym niebem. Od dwóch ulic ułożono w oknach symfonię z towarów, a jaskrawe ich barwy, jeszcze żywsze się zdawały po za czystymi szybami. Była to, rzecz można, bachanalia kolorów, radość uliczna, która tam wybuchała, szeroko otwarty przybytek, gdzie każdy mógł napaść oczy do syta.

Ale o tej rannej godzinie, rzadko kto wchodził: tylko garstka spieszących się klientek, gospodyń z sąsiedztwa, kobiet chcących uniknąć późniejszego natłoku. Czuć było, że po za chorągwiami Magazyn jest pusty, pod bronią, w oczekiwaniu kupujących, ze swemi woskowanemi posadzkami i stołami pełnemi towarów. Ranne, spieszące się tłumy, rzucały przelotne spojrzenia na okna, nie zwalniając kroku. O dziewiątej godzinie, na ulicy Neuve-Saint-Augustin i na placu Gaillon, gdzie się miały zatrzymywać powozy, stały tylko dwie dorożki. Jedynie mieszkańcy tej dzielnicy, zwłaszcza drobni kramarze, poruszeni takim przepychem chorągwi i kit z piór, stawali gromadkami w bramach i na rogach chodników, z głowami zadartemi, robiąc gorzkie uwagi. Co ich najbardziej oburzało, to na ulicy Michodière, przed biurem ekspedycyi, jeden z czterech wozów, jakie Mouret wyprawiał na Paryż: były to wozy z tłem zielonem w desenie żółte i czerwone, z bokami tak mocno pokostowanemi, że na słońcu miały blaski złota i purpury. Stojący tam wóz mocno pomalowany miał na sobie ze wszystkich stron nazwę magazynu; prócz tego, na wielkim afiszu ogłoszenie wyprzedaży, tegoż dnia odbyć się mającej. Odjechał on nareszcie, ciągnięty przez pysznego konia, naładowany pakami, pozostałemi od dnia poprzedniego. Baudu blednący, na progu Vieil Elbeuf śledził okiem aż do bulwaru ten wóz błyszczący jak słońce i obwożący po

Paryżu nienawistną dla niego nazwę: *Bonheur des Dames*.

Jednakże dorożki, zaczynały przybywać, trzymając się szeregu. Ile razy wchodziła klientka, powstawał ruch pomiędzy służbą sklepową, stojącą przed drzwiami w liberyi, składającej się z fraka i spodni jasnozielonych, oraz kamizelki w paski ponsowe i żółte. Inspektor Jouve, były kapitan, w surducie i białym krawacie, z orderem, stał także jakby znak starodawnej uczciwości i przyjmował damy z grzeczną powagą, nachylając się ku nim, dla wskazania oddziałów. Znikały one potem w przedsionku, zamienionym na salon we wschodnim guście.

Od chwili wejścia zatem, były oczarowane, zdumione, porwane. Był to pomysł Moureta. On pierwszy zakupił na wschodzie, na doskonałych warunkach, zbiór nowych i starych dywanów: tych rzadkich dywanów, jakie dotąd, tylko handlujący osobliwościami sprzedawali i to bardzo drogo. On zaś zamierzał zalać niemi rynek i ustępował je prawie za cenę kosztu, chcąc mieć w zysku tylko wspaniałe dekoracje dla przywabienia wyższej publiczności, znającej się na sztuce. Ze środka placu Gaillon, widać już było ten salon orientalny, składający się z samych dywanów i portier, które służba miejscowa porozwieszała według jego wskazówek. Na suficie rozciągnięto dywany smyrneńskie, których powikłane desenie odbijały się od tła ponsowego. Z czterech

stron spływały portiery z Karamanii i Syryi w pręgi zielone, żółte i ponsowe. Z Dyarbekiru, pospolitsze, ostre w dotknięciu, jak siermięgi pastery: dywany mogące służyć za obicia ścian i na portiery; długie dywany z Ispahanu i Kermanchy, szersze z Szumachy i Madrasu w osobliwe piwonie i palmy, twory fantazyi, bujającej po ogrodzie marzeń. Na ziemi leżały mięsiste, grube dywany; w środku osobliwy dywan z Agra, z tłem białem a szlakiem bladoniebieskim, po którym wiły się prześliczne ozdoby wpadające w kolor fioletowy. Prócz tego dokoła widać było cuda: dywany z Mekki z połyskiem aksamitu, z Dagestanu, służące do modlitwy, w symboliczne desenie; z Kurdystanu, zasiane rozwiniętymi kwiatami. Nareszcie w kącie, leżały stosy tanich dywanów z Gerdez, z Kuli i Kircheeru, poczynając od piętnastu franków. Ten pyszny namiot paszy, umeblowany był fotelami i sofami ze skór wielbłądzich, jedne pokrajane w pstre pasy, drugie malowane w naiwne róże. Napotykało się tam: Turcyę, Arabię, Persyę i Indye. Wypróżniono pałac, zrabowano meczety i bazary. Panującym kolorem był płowozłoty w tych starych wypełzłych dywanach, których zblakłe barwy zachowywały zciemniały żar roztopionej rudy w przygasłym piecu. Widziadła wschodu, snuły się wśród przepychu tej barbarzyńskiej sztuki i silnej woni, jaką przechowała ta stara wełna z kraju robactwa i słońca.

Rano, o ósmej godzinie, Dyoniza, mająca rozpocząć swój zawód owego poniedziałku, przechodziła przez ten salon wschodni: ogarnęło ją zdumienie; nie mogła poznać wejścia do magazynu i do reszty zmieszała się w tej haremowej dekoracji, urządzonej przy głównych drzwiach. Lokaj zaprowadził ją na poddasze i oddał w ręce pani Cabin, czuwającej nad porządkiem w pokojach; umieściła ją ona pod Nr. 7, gdzie już zaniesiono poprzednio walizę. Była to wązka celka mansardowa, z oknem wychodzącym na dach: łóżecko, szafka orzechowa, stół toaletowy i dwa krzesła, oto wszystkie sprzęty, dwadzieścia takichże izdebek ciągnęło się wzdłuż klasztornego korytarza, pomalowanego na żółto. Z trzydziestu pięciu pań miejscowych, dwadzieścia nie mających rodziny w Paryżu, tam sypiało. Inne w liczbie piętnastu, mieściły się u pożyczanych ciociów albo kuzynek. Dyoniza natychmiast zdjęła z siebie swą wełnianą sukienkę lichą i wytartą od szczotkowania i łataną na rękawach, jedyną jaką przywiozła z Valognes, następnie ubrała się w mundur swego oddziału, to jest w jedwabną czarną suknię, przerobioną trochę dla niej, którą zastała na łóżku. Suknia ta była jeszcze za obszerna, zbyt szeroka w ramionach; ale Dyoniza tak się spieszyła i tak była zmieszana, że ją estetyczne względy nie obchodziły. Pierwszy raz zdarzyło jej się mieć jedwabną suknię na sobie. Schodząc wystrojona, nie swobodna, przyglądała się poły-

skowi swojej spódnicy i wstydziła się jej głośnego szelestu.

Właśnie gdy wchodziła do swego oddziału, wybuchła tam sprzeczka: Klara krzykliwie się odezwała do pani Aurelii:

— Ja przed nią przyszedłam!

— Nieprawda — odrzekła Małgorzata, — ona mnie popchnęła przy drzwiach, ale już postawiłam nogę w salonie.

Chodziło o zapisanie się na tablicy, według której stawały po kolei do sprzedaży. Panny zapisywały się bowiem w miarę jak przychodziły i każdy raz co która z nich miała kupującą, wystawiała zaraz swe imię. Skończyło się na tem, że pani Aurelia przyznała słusność Małgorzacie.

— Zawsze niesprawiedliwa! — mruknęła gniewnie Klara.

Ale wejście Dyonizy pogodziło te panny. Obejrzawszy ją, uśmiechały się do siebie. Co ona z siebie zrobiła! Biedna dziewczyna niezgrabnie poszła się zapisać na tablicy, gdziebyła ostatnią.

Pani Aurelia przyglądała jej się, wykrzywiając twarz niespokojnie i nie mogąc się powstrzymać, rzekła:

— Moja droga, dwie takie jak ty, zmieściłyby się w sukni. Trzeba ją ścieśnić. Przytem nie umiesz się ubrać. Chodźże, niech trochę poprawię na tobie.

Poprowadziła ją do jednego z wielkich luster, stojących na przemian z szafami do okryć. Duży ten pokój otoczony lustrami i przyozdobiony rzeźbionymi z dębu boazeryami, z meblami krytymi ponsową wełnianą materią dywanową w wielkie kwiaty, przypominał salon w hotelu, gdzie się mieszkańcy ciągle zmieniają. Do powyższego podobieństwa, przyczyniały się te panny, ubrane w mundury jedwabne, obnoszące swe wdzięki uprzejmych kupcowych, nigdy nie siadając na tuzinie krzeseł, przeznaczonych tylko dla kupujących. Wszystkie miały pomiędzy dwiema dziurkami do guzików w staniku duży olówek, jak gdyby wpięty w pierś, z końcem na zewnątrz; z kieszeni zaś wyglądał do połowy biały notesik do zapisywania sprzedaży. Niektóre strojne były w pierścionki, brosze, łańcuszki, ale największą ich chlubą i zbytkiem w którym współzawodniczyły, obok przymusowo jednostajnej sukni, były to bujne włosy, wzbogacone warkoczami i szynionami, gdy własne niewystarczały. Wszystkie były ślicznie uczesane, ufryzowane, słowem największą wagę do ubrania głowy przywiązywano.

— Ściągnijże panna pasek z przodu — powtarzała pani Aurelia. — Teraz przynajmniej nie masz garbu na plecach. A włosy... czy podobna tak je szpecić! Byłyby przepyszne, gdybyś panna chciała.

Rzeczywiście, jedyną ozdobę Dyonizy stanowiły włosy popielate, sięgające do kostek. Tak jej

trudno było je czesać, że zwinąwszy je w kółko, przytrzymała tylko mocnym grzebieniem rogowym. Klara, którą korciły te włosy, śmiała się z nich, istotnie krzywo były ułożone w swym dzikim wdzięku. Zrobiła znak pannie z oddziału bielizny, dziewczynie o dużej ale przyjemnej twarzy. Te dwa sąsiadujące oddziały, były w ciągłej wojnie, lecz panny zawierały czasem przymierze aby razem wyśmiewać się z ludzi.

— Panno Paulino, zobaczno tę grzywę—powtarzała Klara, którą Małgorzata trącała łokciem, udając że się także dusi od śmiechu.

Ale Paulina nie myślała żartować: przyglądała się ona Dyonizie od niejakiej chwili, przypominając sobie, co wycierpiała sama w pierwszych miesiącach w swoim oddziale.

— No, cóż takiego? Nie wszystkie mają takie grzywy.

Po tych słowach wróciła do bielizny, pozostawiając tam te dwie zawstydzone.

Dyoniza usłyszawszy to, wzrokiem wyraziła jej wdzięczność, podczas gdy pani Aurelia wręczała jej notatnik do sprzedaży, naznaczony jej nazwiskiem, mówiąc:

— Jutro ubierzesz się panna lepiej, a teraz staraj się obeznać z tutejszemi zwyczajami i czekaj swojej kolei do sprzedaży. Dzisiejszy dzień będzie ciężki; zobaczymy twoje zdolności.

Ale oddział ich pozostawał ciągle pusty; o tak rannej godzinie mało klientek przychodziło na

górną po okrycia. Panny oszczędzały się, chodziły powoli, wyprostowane, żeby zachować siły na męczące popołudniowe godziny. Dyoniza zmieszana tą myślą, że one czyhają na jej debiut, zatemperowała ołówkę, dla nadania sobie kontenansu, potem naśladując inne, zatknęła go pomiędzy guzikami od stanika. Podniecała w sobie odwagę, postanawiając koniecznie zdobyć swe miejsce: poprzedniego dnia powiedziano jej bowiem, że zostaje przyjętą bez stałej pensyi, tylko z pewnym procentem od towarów jakie sprzeda. Spodziewała się zarobić około tysiąca dwóchset franków, wiedząc że wprawne dziewczęta dochodzą i do dwóch tysięcy, budżet jej był gotowy: ze stu franków miesięcznie mogła opłacić pensyą Pépé i utrzymywać Jana, niepobierającego ani grosza, sama także mogła żyć, kupić coś z ubrania i z bielizny. Ale żeby pozyskać taką sumę, musiała być silną, pracowitą, nie uważać na niechętnie otoczenie, walczyć, wyrywać swą część z rąk koleżanek gdyby tego była potrzeba.

Gdy się tak zagrzewała do boju, przeszedł przed jej oddziałem, wysoki młodzieniec i uśmiechnął się. Poznawszy Deloche'a, który poprzedniego dnia przyjęty został do oddziału koronek, odplaciła mu się uśmiechem, uradowania z odnalezionej przyjaźni, w ukłonie tym widząc dobrą przepowiednię.

O wpół do dziesiątej dzwonek wezwał do śniadania pierwszy stół. Za powtórny odgłosem, po-

dążył stół drugi. Klientek ciągle nie było. Pani Frédéric surowa i posepna, jak niektóre wdowy, lubiła wyobrazać sobie wszystko ze smutnej strony, zaklinała się więc w urywanych frazesach, że ten dzień będzie stracony, że nie przyjdzie żywa dusza, że można pozamykać szafy i rozejść się do domów. Przepowiednie jej zasępiły płaską twarz Małgorzaty, bardzo chciwej zysku; Klara zaś ze swą miną konia, który się wyrwał na wolność, marzyła o wycieczce do lasu Verrières, w razie niepowodzenia w magazynie. Pani Aurelia poważna i milcząca przechadzała się ze swem obliczem Cezara, po pustej sali, jak generał mający odpowiedzialność tak w zwycięztwie jak i w porażce.

Okolo jedenastej, przybyło kilka dam. Nadchodziła właśnie Dyonizy kolej sprzedawania, kiedy zjawila się nowa klientka.

— Ta gruba z prowincyi... — szepnęła Małgorzata.

Była to kobieta czterdziestopięcio letnia, przyjeżdżająca od czasu do czasu do Paryża, z głębi dalekiej prowincyi. Przez całe miesiące odkładała tam pieniądze, z którymi wysiadłszy z wagonu natychmiast biegła do Magazynu Nowości, gdzie wszystkie wydawała. Rzadko jej się zdarzało żądać przesyłki listownie, bo chciała widzieć, mieć tę rozkosz, że dotyka towarów; zaopatrywała się nawet w igły, mówiąc, że w jej miasteczku strasznie są drogie. Cały magazyn ją znał, wiedział,

że się nazywa pani Boutarel, że mieszka w Albi, nie troszcząc się ani o jej stanowisko, ani o sposób do życia.

— Jakże zdrowie pani? — zapytała uprzejmie pani Aurelia, która do niej przystąpiła. — Czego pani sobie życzy? zaraz usłużymy. — I obracając się, zawołała:— Panienki!

Przybliżyła się Dyoniza, ale Klara także przyskoczyła, zazwyczaj leniwą była do sprzedaży, nie dbała o pieniądze, zarabiając więcej i bez trudu na mieście, lecz podnieciła ją chęć odebrania dobrej klientki, nowoprzybyłej.

— Przepraszam, to moja kolej — odezwała się Dyoniza z oburzeniem.

Pani Aurelia usunęła ją surowem wejrzeniem, mówiąc po cichu:

— Tu nie ma kolei, ja jedna jestem panią... skoro się panna wprawisz, to będziesz obsługiwała znajome klientki.

Dziewczyna usunęła się i chcąc ukryć łzy, zdradzające zbytnią wrażliwość, odwrócona ku zwierciadłom, udawała że wygląda na ulicę. Czy one mi nic nie dadzą sprzedawać? Czy będą wszystkie w znowie, żeby mi odbierać ważniejsze sprzedaże? myślała. Lękała się o przyszłość; zdawało jej się, że ją zmiażdżą, stojącą pośród tylu rozkiełznanych żądź. Przejęta gorzkim poczuciem swego osamotnienia, z czołem opartem o zimną szybę, patrzyła na Vieil Elbeuf, rozmyślając, że może powinna była błagać stryja, żeby ją zatrzy-

mał u siebie; może on także załuje swego postanowienia, myślała, bo mi się zdawał bardzo wzruszony wczoraj. Teraz jestem sama jedna w tym wielkim magazynie, gdzie mnie nikt nie lubi, gdzie mię drażnią, gdzie ginę w tłumie. Pépé i Jan tułają się u obcych, oni co mnie dotąd na krok nie odstępowali. Taki żal ją ogarnął, że musiała powstrzymać łzy, przez które ulica wyglądała, jakby mgłą otoczona.

Po za nią tymczasem słychać było szmer głosów.

— To okrycie jest za szerokie — mówiła pani Boutarel.

— Przeciwnie, na ramionach doskonale leży — powtarzała Klara. — Chyba, że pani woli szubkę, aniżeli płaszczyk.

Dyoniza drgnęła, uczuwszy w tej chwili czyjąś rękę na swem ramieniu. Pani Aurelia surowo się odezwała:

— Cóż to, panna nic nie robisz teraz, przyglądasz się przechodniom... o, to u nas nie uchodzi!

— Kiedy mi nie dają sprzedawać!

— Jest inne zajęcie dla panny. Trzeba zacząć od początków... złóż to, co porozrzucane...

Dla zadowolenia tych kilku klientek, które się tam już zjawily, trzeba było przetrząsać wszystkie szafy i na dwóch długich dębowych stołach, po lewej i prawej stronie sali, piętrzyły się płaszcze, szuby, rotundy, *vetements*, różnych wielkości i z rozmaitych materyałów. Nic nieodpowie-

dziawszy, Dyoniza zaczęła je przebierać, układać starannie i na nowo rozwieszać w szafach. Było to podrzędne zajęcie początkujących panien. Już się nie wzbraniała, wiedząc, że od niej żądają biernego posłuszeństwa, czekała ażeby pani Aurelia pozwoliła jej sprzedawać, jak pierwiastkowo miała widać zamiar. Jeszcze składała, kiedy się ukazał Mouret. Na jego widok doznała wstrząśnienia i zarumieniła się, niewiedząc dlaczego. Znowu uległa osobliwej trwodze, sądząc że do niej przemówi; ale nawet jej niewidział; już sobie nie przypominał tej dziewczynki, którą był poparł, pod wpływem przelotnego, choć miłego wrażenia.

— Pani Aureliol! — zawołał nakazującym głosem.

Był on trochę blady, jednak wzrok miał jasny i stanowczy. Obszedłszy wszystkie działy, przekonał się, że są puste i nagle obok uporczywej wiary w swe szczęście, błysnęła mu w głowie możliwość porażki. Wprawdzie wybiła dopiero jedenastagodzina, a wiedział z doświadczenia, że tłumy przybywają po południu; ale niektóre symptomata niepokoiły go. Podczas innych wyprzedazy, ruch objawiał się od rana, a dziś nie widać było nawet tych kobiet bez kapeluszy, klientek z tejże samej dzielnicy, przychodzących do niego po sąsiedzku. Jak wszyscy wielcy wodzowie, w chwili rozpoczęcia boju, tak i on uległ zaboronnej trwodze, pomimo zwykłej trzeźwości czło wieka czynu. Zdawało mu się, że sprzedaż nie

pójdzie, że przepadł; sam nie wiedząc dlaczego: nawet na twarzach przechodzących dam czytał ten wyrok. Jak na złość, pani Boutarel, ona która zawsze kupowała, odchodząc rzekła:

— Nie, nic mi się niepodoba; zobaczę, namyśle się...

Mouret patrzył za odchodzącą. Gdy po chwili pani Aurelia przybiegła na jego wezwanie, usunął się z nią na bok i zamienili z sobą kilka szybkich słów. Z rozpaczonym gestem, mówiła ona widocznie, że się sprzedaż nie ożywia. Przez chwilę stali naprzeciw siebie, przejęci zwątpieniem; jakie generałowie kryją zwykle przed żołnierzami. Potem rzekł głośno z dobrą miną:

— Jeżeli zabraknie panien, to weź pani jedną z pracowni... zawsze się na coś przyda...

Zgryziony przystąpił potem na nowo do swego przeglądu. Od rana unikał Bourdoncle'a, którego trwożliwe uwagi drażniły go; ale spostrzegł go wychodząc z oddziału bielizny, gdzie sprzedaż szła jeszcze gorzej i musiał wysłuchać obaw. Powiedział mu wtedy bez ogródki, żeby poszedł do diabła, nie oszczędzając w złych chwilach starszych subiektów.

— Dajże mi pokój! Wszystko dobrze idzie. Skończy się na tem, że tchórzy wyrzucę za drzwi.

Stanął potem sam jeden oparty o poręcz wschodów wiodących do halli. Ztamtąd górował nad całym magazynem, mając dokoła siebie oddziały antresoli i parterowe poniżej. Na górze pustka

wydawała mu się przerażającą: w oddziale koronek jakaś stara jejmość, kazała przerzucić wszystkie pudła, nic nie kupując; przy bieliznie zaś trzy jakieś ladaco, wybierały bez końca kołnierzyki po osiemnaście sous. Na dole w galeryach otwartych, wśród światła, dostającego się z ulicy, zauważył, że zaczyna przybywać klientek. Przechadzały się zwolna przed kontuarami, ale daleko było do tłumnego zebrania. Przy norymberszczyźnie i pończoszniczych wyrobach, cisnęły się kobiety w kaftanikach, lecz przy białych i wełnianych towarach nie było prawie nikogo. Służba sklepowa we frakach zielonych, u których duże złocene guziki błyszcząły, stała z założonemi rękami. Niekiedy przechodził który z inspektorów z miną ceremonialną i sztywną, w białym krawacie. Najbardziej ścisnęło się serce Moureta na widok pustki w halli; światło tam padało z góry, przez szyby matowe, przepuszczające pył biały rozpierschający się i jakby zawieszony, oświecał on salę jedwabi, gdzie panowała kościelna cisza. Kroki którego z subiektów, szelest przechodzącej sukni, były to jedyne szmery, przytłumione gorącym kaloryferu. Jednakże powozy zjeżdżały się: słychać było zatrzymywanie koni i gwałtowne zamykanie drzwiczek. Z ulicy dochodził oddalony zgiełek ciekawych, popychających się u wystaw; dorożek stających na placu Gaillon; słowem wszelkie oznaki zbliżającego się tłumu. Ale widząc, że kasyerzy próżnują za okienkami, że na

stołach do paczek, prócz przygotowanych pudełek ze szpagatami i ryz szarej bibuły, nic więcej nie leży, Mouret oburzony, że się lęka, mówił sobie, że chyba jego maszyna drętwieje i lodowacieje, pomimo jego zabiegów.

— Słuchaj Favier — szepnął Hutin — widzisz tam na górze naszego pryncypała, nie wesoło jakos wygląda...

— Szkaradna szopa kramarska — jeszcze nic nie sprzedał — odrzekł Favier:

Obaj w oczekiwaniu klientek, rzucali takie krótkie frazesa, nie patrząc na siebie. Inni subiekci w tym oddziale układali stopy sztuk *Paris Bonheur*, pod rozkazami Robineau, podczas gdy Bouthemont miał walną naradę z jakąś chudą kobietą, która półgłosem zdawała się zamawiać jakąś dużą partyę. Dokoła nich, na lekkich półkach, jedwabne materye w długich powłokach z papieru crème, piętrzyły się jakby broszury w niezwykłym formacie. Na kontuarach leżały materye fantazyjne, mory, atlasy, aksamity, jakby kwatery pościananych kwiatów, całe stopy tkanin delikatnych i drogocennych. Był to oddział elegancki, prawdziwy salon, gdzie leciuchne towary, składały się tylko z przedmiotów zbytku.

— Potrzeba mi sto franków na niedzielę; — odezwał się znów Hutin. — Jeżeli mi nie przypadnie tantyemy dwanaście i pół franków dziennie przeocięciowo, tom zgubiony. Rachowałem na tę ich sprzedaż...

— Tam do licha! sto franków to nie żarty—odparł Favier. Jabyś chciał tylko pięćdziesiąt, albo sześćdziesiąt chyba się zadajesz z kobietami *chic?*

— Ależ nie, mój drogi: wyobraź sobie, co mi się zdarzyło... założyłem się i przegrałem zakład a teraz muszę uczęstować pięć osób, dwóch mężczyzn i trzy kobiety... Bodajże je... w pierwszą co przyjdzie, cisnęę dwadzieścia metrów *Paris Bonheur!*

Pozmowa ich trwała jeszcze chwilkę, opowiedzieli sobie: co robili wczoraj i co robić myślą za tydzień. Favier zakładał się na wyścigach, Hutin płynął łódką i nade wszystko lubił śpiewaczki z kawiarni koncertowych. Ale też sama potrzeba pieniędzy ich dręczyła: myśleli tylko o pieniądzach, uganiali się za pieniędzmi od poniedziałku do soboty, poczem zjadali wszystkie w niedzielę. W magazynie było to ich głównem zadaniem, walką ustawiczną. A ten niegodziwy Bouthemont zabrał im ową chudą kobietę z którą rozmawiał, przysłaną przez panią Sauveur. Piękny interes, dwa lub trzy tuziny sztuk, bo ta znakomita modystka duży odbyt miała. W tejże chwili Rabineau wpadł na pomysł odebrania klientki Favierowi.

— Trzeba mu się przysłużyć—rzekł Hutin, korzystający z każdej drobnostki dla zniechęcenia kantorzystów do człowieka, którego miejsce chciał zająć. — Alboż to starsi subiekci powinni

sprzedawać? Słowo ci daję, mój drogi, jeżeli kiedy wyjdę na starszego, zobaczycie wszyscy, jak się będę z wami grzecznie obchodził!

Ta tłusta, uprzejma normandzka osóbką, udawała energicznie prostoduszność. Favier nie mógł powstrzymać spojrzenia z ukosa; ale z flegmą złotociowego człowieka odrzekł tylko:

— Tak, wiem... co do mnie nic nie mam przeciwko temu.

Ponieważ zbliżała się jakaś dama, dodał ciszej:
— Uważaj! to dla ciebie.

Była to kobieta z czerwonawą cerą, w kapeluszu złotym i sukni ponsowej. Hutin od razu poznał, że nic nie kupi, żywo się więc schylił za kontuarem, udając, że zawiązuje sobie trzewiki i mruczał w swem ukryciu:

— Niechaj ją inny bierze. Bardzo dziękuję... straciłbym kolej! — Robineau zawołał:

— Czyja kolej, panowie? Pana Hutin? Gdzie jest pan Hutin?

Ponieważ ten nie odzywał się, następujący subiekt przyjął czerwoną jejmość. Istotnie chodziło jej tylko o próbki i ceny, ale przeszło dwadzieścia minut zatrzymała subiekta, zarzucając go pytaniami. Robineau spostrzegł Hutina, podnoszącego się za kontuarem; więc gdy nowa klientka nadeszła, z surową miną powstrzymał wyskakującego do niej młodzieńca:

— Kolej pańska minęła — rzekł — wołałem pana, ale byłś schowany tam z tyłu.

— Nie słyszałem..

— Dosyć tego, zapisz się pan ostatni. Twoja kolej, panie Favier.

Bardzo uradowany w głębi duszy tą przygodą, przeprosił on spojrzeniem kolegę. Hutin z siniałemi usty, odwrócił głowę. Tem większej doświadczył on przykrości, że znał dobrze ową klientkę, prześliczną blondynkę, która często zjawiała się w tym oddziale. Subiekci nazywali ją pomiędzy sobą: „piękną panią”, nic o niej nie wiedząc, nawet jak się nazywa. Dużo zwykle robiła sprawunków, które zanoszono do powozu, poczem znikiała.

Była wysoka, elegancka i ubrana ze szczególnym wdziękiem, wydawała się bardzo bogata i z najlepszej sfery.

— A cóż, twoja kokotka? — zapytał Hutin Faviera, skoro powrócił z kasy, gdzie zaprowadził klientkę

— Kokotka.. — odparł tenże — o nie, zbyt przyzwoitą ma minę. To musi być żona jakiegoś finansisty albo doktora... coś podobnego.

— Dajże pokój, to kokotka! One mają teraz miny tak dystygowanych kobiet, że nie można łatwo poznać..

Favier zajrzał do notatnika ze sprzedażą.

— Mniejsza o to — rzekł — wyciągnąłem z niej przeszło dwieście trzydzieści franków, co mi przyniesie blisko trzy franki.

Hutin zacisnął usta i zemścił się na notatnikach:

— Także osobliwszy pomysł — rzekł — zajmują nam tylko miejsce w kieszeniach.

Była pomiędzy nimi głucha walka. Favier, zazwyczaj udawał że ustępuje Hutinowi i uznaje wyższość jego, chociaż kąsał go po za plecami. Bolało go to obecnie, że mniej zręcznym będąc od niego, z taką łatwością zdmuchnął mu z przed nosa trzy franki.

— Piękny dzień nie ma co mówić! Jeżeli tak dalej pójdzie, nie będę mógł poczęstować nawet wodą salcerską moich gości! — myślał.

Wśród ożywiającej się sprzedaży, chodził zwolna przed kontuarami; ostrzył zęby, czyhał na zdobycz, zazdrościł nawet swemu naczelnikowi, który odprowadzał właśnie ową młodą i chudą kobietę, powtarzając:

— Bardzo dobrze... Bądź pani łaskawą powiedzieć, że się postaram uzyskać jeszcze i tę grzeczność u pana Moureta.

Oddawna już Mouret opuścił swe stanowisko w antresoli, przy poręczy wschodów wiodących do halli. Niespodzianie znów się zjawił jednak, a ztamtąd rozejrzał się po całym magazynie. Twarz mu się rumieniła, wiara powracała i ożywiała go, w obec fali ludzi, która pomału zalewała cały magazyn. Był to oczekiwany napływ popołudniowy, tłum, o którym przez czas jakiś gorączkowo powątpiewał. Wszyscy subiekci byli na swych stanowiskach; ostatni odgłos dzwonu, oznajmił koniec śniadania trzeciego stołu. Po-

wodem niepokojących pustek rannych, musiała być ulewa, jaka spadła około dziewiątej godziny; lecz wszystko to mogło się poprawić, gdyż błękity nieba znowu przybrały wesołość zwyciężką. Obecnie oddziały w antresolach ożywiały się; zmuszony był usuwać się z drogi, aby przepuścić wchodzące damy, które małemi gromadkami zapępniały, oddziały bielizny i okryć. Jednocześnie po za sobą słyshał wymieniane wielkie cyfry w oddziałach koronek i szali. Lecz najwięcej dawały mu otuchy galerye parterowe; duszono się przy norymberszczyźnie; białe i wełniane towary były też w oblężeniu. Coraz bardziej ścieśniały się szeregi kupujących; prawie wszystkie kobiety były w kapeluszach, czepki spóźnionych gosposz zaledwo gdzie nie gdzie dawały się spostrześć. W halli jedwabi, pod bladym światłem, damy zdejmowały rękawiczki, ażeby się z lekka dotykać sztuk *Paris Bonheur*, rozmawiając półgłosem, jakby w salonie. Już go nie mylił dochodzący z zewnątrz turkot zajeżdżających powozów i trzaskanie drzwiczkami, tłum coraz bardziej wzrastał, czuł, iż maszyna jego wchodzi w ruch, rozgrzewa się i rozbudza do życia. W kasach słyshać było brzęk złota koło stołów, wprawni chłopcy sklepowi spieszenie pakowali sprawunki, ruch dawał się słyseć nawet w salce suterenowej, w ekspedycyi, która się napełniała pakami zsuwanemi z łoskotem, wstrząsającymi mury.

W tłoku inspektor Jouve, przeciskał się poważnie, czyhając na złodziejki.

— To ty! wykrzyknął nagle Mouret, spostrzegając Pawła de Vallagnoso, którego prowadził ku niemu chłopiec sklepowy. Nie, nie, wcale mi nie przeszkadzasz. Pilnuj się mnie tylko, jeżeli chcesz wszystko widzieć, bo dziś muszę pozostać na wyłomie.

Nie pozbył się jeszcze niepokoju, tłumy co prawda przybywały, ale czy wyprzedaż pójdzie z oczekiwanym tryumfem? Pomimo to, śmiał się z Pawłem i prowadził go wesoło.

— Zdaje się, że się potrosze ożywia — rzekł Hutin do Faviera. Jednakże ja nie mam jakoś szczęścia; są dni, w których zły los mnie przesładuje, słowo daję! Znowu mię ominęła gratka... ta karykatura nic nie kupiła — rzekł, wskazując brodą wchodzącą damę, która niechętnem okiem wodziła po wszystkich towarach, z pewnością nie utrzymam się z tysiąca franków stałej pensyi, jeżeli mi ze sprzedaży nic nie przybędzie!

Zwykle miał dziennie przecięciowo siedm lub osiem franków tantiemy. Favier dochodził tylko do ośmiu, a teraz to bydle odrywa mu od ust kawałki, bo znowu sprzedał suknię. I to ten zimny chłopiec, nie umiejący nigdy rozweselić klientki! Jakże go to nie miało doprowadzić do rozpaczyny?

— Pończosznicy i niciarze zdają się robić dobre interesa; — bąknął Favier.

Hutin, rozglądający się po magazynie, odezwał się nagle:

— Czy znasz panią Desforges, przyjaciółkę naszego pryncypała? Patrz, ta brunetka, której Mignot przymierza rękawiczki.

Umilkł, a potem rzekł po cichu, jakby do Mignota, z którego oka nie spuszczał:

— Ściskaj jej paluszki, głupcze, ale ci z tego nic nie przyjdzie. Znamy się na twoich zdobyczach.

Pomiędzy nim i rękawicznikiem zachodziło współzawodnictwo pięknych chłopców, kokietujących klientki. Zresztą nie mogli się oni pochwaląc żadną rzeczywistą intrygą miłosną. O Mignot'cie opowiadano legendę, iż żona komisarza policyi, zakochała się w nim, co się zaś tycze Hutina, to naprawdę podbił w swym oddziale serce jakiejś szmuklerki, znudzonej włóczęgą po hotelach niższego rzędu tejże dzielnicy: ale obaj kłamali, przechwalając się tajemniczymi przygodami, schadzkami, jakie im naznaczały hrabiny, pomiędzy jednym kupnem a drugim.

— Weź ją w obroty, powiedział Favier, ze swoją zimną i złośliwą miną.

— Dobra myśl! wykrzyknął Hutin. Jeżeli tu przyjdzie, wezmę się do niej, bo gwałtownie mi potrzeba sto sous.

W dziale rękawiczek, cały szereg dam zasiadł koło wąskiego kontuaru, obitego zielonym aksamitem; uśmiechnięci subiekci piętrzyli przed nie-

mi płaskie pudła mocno różowego koloru, które wyjmowali z szaf. Szczególnie Mignot, przechyłał swą ładną i wymuskaną główkę, nadając tkliwe brzmienie szepleniącej wymowie paryzkiej. Sprzedał on już pani Desforges, cały tuzin rękawiczek kozłowych, sześć par białych i sześć jasnych, zwanych *Bonheur*, będących specjalnością Magazynu. Wzięła jeszcze potem trzy pary szwedzkich, a teraz próbowała saskie, chcąc się przekonać, czy miara będzie dobra.

— O, doskonała! — powtarzał Mignot — sześć i trzy czwarte byłyby za wielkie na taką rękę, jak pani.

Nawpół leżąc na kontuarze, trzymał ją za rękę, brał każdy palec po kolei, nasuwał rękawiczkę raz po raz powoli, pieszczotliwie i patrzył, jakby wyczekując na jej twarzy wrażenia rozkosznego. Ale ona z łokciem wspartym na aksamicie kontuaru z ręką podniesioną do góry, wystawiała palce z tak spokojną miną, jak podawała nogi swej służącej dla zapięcia bucików. Dla niej nie był on mężczyzną, używała go w potrzebie, z taką samą wzgardą, z jaką traktowała słuzalców swoich, nie patrząc nawet na nich.

— Nie urażam panią?

Poruszeniem głowy odpowiedziała że nie. Zapach saskich rękawiczek, ten zapach zwierzęcia dzikiego jakby ocukrzony piżmem, zwykle ją wzburzał; śmiała się z tego czasami, wyznawała swoje upodobanie w tym dwuznacznym zapachu,

gdzie czuć było rozszalałe zwierzę, któreby wpadło do puszki z ryżowym pudrem, dziewczyny. Ale wobec tego banalnego kontuaru nie czuła rękawiczek i pomiędzy nią a sprzedającym, którokolwiekby on był, nie zdradzały one zmysłowego ciepła.

— Czem jeszcze mogę pani służyć?

— Dziękuję, niczem. Proszę to odesłać do kasy Nr. 10, dla pani Desforges.

Jako stała klientka, przesyłała do kasy sprawunki wraz ze swem nazwiskiem, nie żądając aby za nią szedł subiekt. Skoro odeszła, Mignot mrugnął okiem, do sąsiada; któremu chciał dać do zrozumienia, że zaszło pomiędzy nimi coś niezwykłego.

— Z chęcią kładłoby jej się ciągle rękawiczki! rzekł otwarcie.

Pani Desforges, dalej robiła sprawunki. Zwróciwszy się na lewo, zatrzymała się przy białych towarach, żeby kupić ścierki; potem obeszła dookoła i dotarła aż do wełnianych wyrobów w głębi galeryi. Ponieważ była zadowolona ze swej kucharki, chciała ją obdarzyć suknią. Oddział wełnianych towarów, był natłoczony publicznością; głównie uwijały się tam mieszczyki; dotykały materji i obliczały się w myśli. Musiała usiąść na chwilę. W przedziałach mieściły się ogromne sztuki tkanin, które z trudnością dźwigali subiektci; nie mogli dać sobie już rady z nagromadzonemi towarami na kontuarach, gdzie się

wszystkie sztuki mieszały i zsuwały. Były tam wszelkiego rodzaju kolory, nadające się do wełny: szaro-popielate, szaro-żółte, szaro niebieskie; a wśród tego gdzieniegdzie, odbijały kraty szkockie, lub krwisto-czerwone flanele. Etykiety bieleły się na nich, jak rzadkie płatki śniegu, spadłego na czarną ziemię, w miesiącu listopadzie.

Po za ogromnym stosem popeliny, Liénard, przekomarzał się z młodą dziewczyną, robotnicą z tejże dzielnicy, wysłaną przez swoją pryncypałowę do kupienia merynosu. Nienawidził on dni wielkich wyprzedaży, od których bolały go ręce; wykręcał się jak mógł od pracy, będąc tak hojnie uposażony przez ojca, że sobie drwił ze sprzedaży i robił tyle tylko, żeby go nie wyrzuciono za drzwi.

— Panna Fanny zawsze się tak śpieszy. Czy wigon podobał się wtenczas? Przyjdę do pani upomnieć się o tantiemę.

Ale robotnica uciekła śmiejąc się, a Liénard ujrzał przed sobą panią Desforges, którą zapytał mimowoli:

— Co pani rozkaze?

Zaządała sukni niedrożej, ale trwałej. Liénard, według zwyczaju, chcąc sobie zaoszczędzić ręce, starał się o to, żeby wybrała jedną ze sztuk rozwiniętych już na kontuarze. Były tam wigonie, kaszmiry, beże; przysięgał, że nie ma nic lepszego. Ale żadna z tych tkanin nie zadawiała jej. Zauważyła natomiast w jednej prze-

działce materiału błękitnawy, który chciała obejrzeć. Wówczas zrezygnował się i podał go, lecz osądziła, że jest za ostry. Potem nastąpiły szewioty, dyagonale, rozmaite odcienia szarych kolorów, różne gatunki wełny, której dotykała się przez ciekawość, dla przyjemności tylko, będąc zdecydowaną wzięść co bądź. Młodzieniec zmuszony był sięgać do najwyższych przedziałów, aż mu kości trzeszczały. Nie było widać kontuaru z pod jedwabistych kaszmirów i popelin, z pod szewiotów z ostrym włosem, z pod pluszowego puszku wigoniów. Były tam wszelkiego rodzaju tkaniny i kolory. Bez najmniejszego zamiaru kupienia, kazała sobie pokazać nawet grenadinę i gazę z Chambéry. Nakoniec gdy ją to już znudziło, powiedziała:

— Doprawdy, że najpierwsza sztuka, była najlepsza, to dla mojej kucharki... ta szarsza w mały rzucik, na dwa franki.

Liénard odmierzył, blady ze złości:

— Proszę to odesłać do kasy Nr. 10 dla pani Desforges — dodał.

Oddalając się, spostrzegła koło siebie panią Marty z córką Walentyną, panną wysoką, lat czternastu, chudą i dumną, która już pożerała towarzyszy, pożądliwym kobiecym okiem.

— Ach, to kochana pani! — zawołała.

— Tak, moja droga pani. Co za tłok!

— Dusić się trzeba. Powodzenie ogromne! Widziała pani salon orientalny?

— Pyszny, niezrównany!

Potrącane łokciami, popychane przez rosnącą falę niższej klasy, rzucając się na takie wyroby wełniane, zachwycaly się wystawą dywanów.

Potem pani Marty powiedziała, że szuka materji na płaszczyk, lecz nie może się zdecydować, chce więc obejrzeć wełniane matelassé.

— Patrz mamó, szeptała Walentyna, to zaud-
to pospolite.

— Chodźmy do jedwabi, powiedziała pani Desforges. Trzeba zobaczyć ich sławne *Paris Bonheur*.

Jakiś czas pani Marty wahała się.

— To będzie za drogie, a tak uroczyście przyrzekłam mężowi, że będę rozsądną! — rzekła.

Od godziny ciągle kupowała, całe paki sprawunków noszono za nią; dla siebie nabyła mufkę, dla córki pończochy. Nakoniec powiedziała subiektowi, pokazującemu jej matelassé:

— Nie, pójdę do jedwabi; to wszystko mi się niepodoba.

Wziąwszy sprawunki, poprowadził on panie za sobą.

Przy jedwabiach także był tłum. Szczególniej ciśnięto się przed wewnętrzną wystawą Hutina, wykończoną mistrzowską ręką Moureta, w głębi halli, dokoła małej kolumny z lanego żelaza, podpierającej oszklenie. Był to jakby deszcz z materji, fala kipiąca i rozlewająca się coraz szerzej. Najpierw tryskały atłasy jasne i jedwabie w de-

likatnych kolorach: atłasy *à la Reine*, atłasy *Renaissance*, z perłowemi odbłyškami wody źródlanej; jedwabie lekkie i przejrzyste, jak kryształ; zielony *Nil*, błękitny *indyjski*, różowy *majowy*, niebieski *Dunaj*. Potem szły tkaniny tęższe: cudowne atłasy, jedwabie *duchessa* o barwach gorących, układane w pełniejsze zwoje. Na dole, jakby uspione, leżały materyały ciężkie: armiury deseniowane, adamaszki, brokatele, jedwabie przerabiane perłami, złotem lub srebrem, pośród głębokiego łożyska aksamitów czarnych, białych, kolorowych, wyciskanych, z tłem jedwabnem lub atłasowem. Tworzyły one ruchome plamy, jakby jezioro stojące, w którym zdawały się migotać odbłyśki nieba i krajobrazu. Kobiety blade z poządlowości, nachylały się, jak gdyby chciały się przejrzeć. Wszystkie wobec tej rozszalałej katarakty stały, przejęte tajoną obawą, żeby ich nie porwał wylew tego przepychu; zarazem ogarniała je nieprzeparta chęć, rzucić się w jego nurty i zginąć...

— A... jesteś tu! — rzekła pani Desforges, zastawszy panią Bourdelais usadowioną przy jednym z kontnarów.

— Dzień dobry! — odpowiedziała ona, ściskając obie panie za ręce. Tak, przyszłam przyjrzeć się trochę.

— Prawda, że wystawa przesliczna... Może głowę zawrócić. A salon wschodni... czyś widziała salon wschodni?

— Widziałam... to coś nadzwyczajnego!

Potem uniesieniu, które było w modzie owego dnia, pani Bourdelais, zachowywała zimną krew praktycznej gospodyni. Pilnie oglądała sztukę *Paris Bonheur*, po to jedynie przyszedłszy, żeby skorzystać z wyjątkowej taniości tej materyi, jeżeli się wyda korzystną. Musiała ją zadowolnić, zażądała bowiem dwadzieścia pięć metrów, licząc na to, że wykroi suknię dla siebie i paltocik dla córeczki.

— Jakto, już wychodzisz? — zapytała pani Desforges. Przejdźże się z nami.

— Nie, przepraszam... czekają na mnie w domu... Nie chciałam dzieci narażać na ten tłok.

Oddaliła się też zaraz, poprzedzona przez subiekta, który ją zaprowadził do kasy Nr. 10, gdzie Albert tracił głowę, wśród nieustannych żądań faktur. Skoro subiekt zdołał nareszcie zanotować ołówkiem sprzedaż w kwitaryuszu z grzbietem, oznajmiał o niej, a kasyer zapisywał w rejestrze; potem następowało kontrolowanie i kartka wydarta z kwitaryusza umieszczala się na haku, przy tabliczce z napisem: nabyte.

— Sto czterdzieści franków — rzekł Albert.

Pani Bourdelais zapłaciła, załączając swój adres, przyszedłszy bowiem pieszo, nie chciała się trudzić dźwiganiem paczki. Za kasą, Józef już trzymał jej sprawunek i pakował go; potem paczka wrzucona do kosza na kółkach, spuszczonej została do biura ekspedycyi, które zwolna za-

pełniało się tak dalece, że towary z całego magazynu spadały tam, z hukiem przerwanej tamy.

Przy jedwabiach taki był natłok, że panie Desforges i Marty, nie mogły zdobyć z początku wolnego subiekta. Stały zmieszane z tłumem dam, które oglądając materye macały je i godzinami całemi nie mogły się namyśleć. Największe jednak powodzenie miało *Paris Bonheur*, do którego z początku powstał taki szal; taka gorączka, że odrazu weszło w modę. Wszyscy subiekci, zajęci byli mierzeniem tej materyi; widać było po nad kapeluszami blade błyski rozwiniętych sztuk, wśród ciągłego przesuwania się palcy po dębowych łokciach, zawieszonych u rączek mosiężnych; słychać było szczepek nożyczek krających tkaninę i to bez ustanku, w miarę wyjmowania z pak, jak gdyby nie było dosyć rąk, żeby zadowolnić chciwe, wyciągnięte dłonie klientek.

— Trzeba przyznać, iż nie brzydka, jak na pięć franków i sześćdziesiąt centymów; rzekła pani Desforges, której się udało porwać jedną sztukę, na rogu stołu.

Pani Marty i córeczka jej Walentyna, doznały zawodu. Pisma tyle głosiły o tej materyi, że się spodziewały tęższej i z większym połyskiem. Bouthemont, który poznał panią Desforges, chcąc złożyć hołd piękności władającej sercem Moureta, zbliżył się ze swą uprzejmością, trochę rubaszną, mówiąc:

— Jakto, nikt pani nie usłużył jeszcze? Ależ to nie do darowania! Niech pani raczy jednak być względną, bo wszyscy tu głowy potracili.

Zaczął szukać krzeseł pomiędzy sukniami dam, ze swym śmiechem dziecięcym i gminnym, w którym przebijała się brutalna miłość kobiet, widocznie wcale nie przykra dla Henryety.

— Słuchajno, — szepnął Favier, idący za Hutinem, do przegrody po pudło z aksamitem, Bouthemont zdmuchnie ci twoją klientkę.

Hutin zapomniał o pani Desforges, doprowadziła go bowiem do wściekłości jakaś stara jejmość, która zatrzymawszy go cały kwadrans, kupiła metr czarnego atlasu na gorset. W chwilach wielkiej ciżby, nie uważając na kolej, subiekci dowolnie zajmowali się sprzedażą. Właśnie gdy obsługiwał panią Boutharel, która spędziwszy rano trzy godziny w Magazynie Nowości, wróciła tam na całe popołudnie, ostrzeżenie Fawiera zelektryzowało go... Jakto, miałyby mnie ominąć, myślał, metresa pryncypała, z której przysiągłem sobie wyciągnąć sto sous? To już byłby nadmiar złego... Dotąd nie mam trzech franków, chociaż się tu włóczy tyle kobiet!

Bouthemont powtarzał właśnie bardzo głośno:

— Panowie, proszę tutaj!

Wtedy Hutin ustąpił panią Boutharel, niezajętemu Robineau.

— Niech pani będzie łaskawa zwrócić się do starszego subiekta; on panią lepiej obsłuży ode mnie.

Potem skoczył czempredzej, odebrał sprawunki pani Marty od sprzedającego wełniane materiały subiekta, który towarzyszył tym paniom i czekał ciągle. Nerwowe podniecenie, musiało pozbawić Hutina delikatnego węchu: zazwyczaj od pierwszego rzutu oka na kobietę, wiedział czy kupi co i w jakiej ilości, brał zaraz w kluby klientkę, śpiesznie ją zbywał, żeby przejść do innej i narzucał jej swój wybór, wmawiając, że lepiej wie niż ona, jakiej materji jej potrzeba.

— Jakiego rodzaju jedwabiem mogę pani służyć? — zapytał z najuprzejmniejszą miną.

Zaledwie pani Desforges, otworzyła usta, mówił dalej:

— Wiem... już mam właśnie to, czego pani trzeba.

Skoro sztuka *Paris Bonheur* została rozwinięta na wązkim kawałku kontuaru, pomiędzy stosami innych materji, pani Marty zbliżyła się wraz z córką. Hutin, trochę się zaniepokoił zrozumiawszy, że idzie najpierw o zaopatrzenie tej damy. Zamieniały one pół głosem słowa z panią Desforges, która dawała rady przyjaciółce.

— O zapewne, — szepnęła ta ostatnia — materia na pięć franków nigdy nie może być taką, jak na piętnaście a chooby i dziesięć.

— Bardzo wiotka — mówiła pani Marty. Nie wiem czy będzie dosyć mocna na okrycie.

Usłyszawszy tę uwagę, wmięszal się do rozmowy, z uśmiechem i przesadną grzecznością człowieka, nie mogącego się omylić.

— Ależ proszę pani, właśnie to stanowi jej zaletę, że miękka. Nie gniewcie się... takiej pani potrzeba.

Damy umilkły, tak na nie oddziaływał tą stanowczością. Wzięły znowu materję do ręki i przyglądały się. Wtem dotknął ktoś ich ramię: była to pani Guibal, która od godziny przechadzała się zwolna po magazynie i raczyła oczy nagromadzonemi stosami, nie kupiwszy nawet metra perkalu. Znowu nastąpiła zapalczą gawęda:

— Jak to... ty?

— Tak to ja, tylko trochę wyszturchana.

— Bo też tu tłum... ruszyć się już nie można... a salon orientalny?

— Zachwycający!

— Jak świetnie idzie sprzedaż! Zostańże, pójdziemy razem na górę.

— Dziękuję ci, powracam ztamtąd.

Hutin czekał, kryjąc niecierpliwość pod ciągłym uśmiechem: Długoż będą mnie tak trzymały? — rozmyślał. Doprawdy że kobiety są bez ceremonii; poprostu wykradają mi pieniądze z kieszeni! Nareszcie pani Guibal rozpoczęła na-

nowo przechadzać się zwolna, krążąc z zachwyconą miną dokoła wielkiej wystawy.

— Ja na pani miejscu kupiłabym gotowy płaszczyk — rzekła pani Desforges, wracając nagle do *Paris Bonheur*. Taniej pani wypadnie.

— Prawda że z ubraniem i robotą!... Szepnęła pani Marty. Przytem można wybierać.

Podniosły się wszystkie trzy. Pani Desforges, stojąc przed Hutinem odezwała się:

— Proszę nas zaprowadzić do okryć.

Oślupiał, nie będąc przyzwyczajony do takich zawodów. Jakto, więc ta czarnowłosa dama nie nie kupi. Mój węch miałby mię zawieść! Zaniechawszy panią Marty, zaczął nalegać na Henryetę, próbując sił zręcznego kupca. Jaknajśłodszym głosem zapytał więc:

— Czy szanowna pani nie życzy sobie zobaczyć naszych atlasów, aksamitów?

— Dziękuję, innym razem; odparła spokojnie, nie patrząc na niego, tak samo jak nie patrzyła na Mignota.

Hutin musiał zabrać sprawunki pani Marty i pójść przed trzema paniami, aby je zaprowadzić do okryć. Cekał go jeszcze boleśniejszy widok, Robineau sprzedawał bowiem pani Boutarel dużą ilość metrów materyi. Widocznie straciłem nos, myślał, nie zarobię nawet czterech sous. Pod maską ugrzecznienia taił on wściekłość człowieka ogołoczonego i pożeranego przez innych.

— Panie raczą pójść na pierwsze piętro — rzekł nie przestając uśmiechać się.

Niełatwą było to rzeczą dostać się na wschody. Ściśnięte szeregi głów, zapełniały galeryę, tworząc na środku halli jakby wylew jeziora. Batalia handlowa potężniała. Całe rzesze kobiet zależały od łaski subiektów, oddających je sobie nawzajem, — z największym pośpiechem. Nastąpił szalony ruch popołudniowych godzin. Maszyna w pełnem działaniu wirowała klientkami, wyciągając z nich pieniądze. Przy jedwabiaczce zwłaszcza, panowała największa gorączka, koło *Paris Bonheur* taka była ciżba, że Hutin nie mógł zrobić kroku przez kilka minut. Henryeta przydużona, podniosła oczy i ujrzała na szczycie wschodów Moureta, powracającego ciągle do miejsca, z kąd najlepiej widział swoje zwycięstwo. Uśmiechnęła się w nadziei, że zejdzie żeby ją oswobodzić, ale on jej nawet nie wyróżniał w tym natłoku. Był ciągle z Vallagnosc'em, któremu pokazywał całe swoje państwo, z twarzą promieniącą tryumfem. Zewnętrzny zgiełk, został teraz przygłuszony wewnętrznym: już nie było słyhać ani turkotu powozów, ani trzaskania drzwiczkami. Po za głośnym szmerem sprzedaży, czuło się tylko olbrzymi Paryż, który ciągle dostarczać będzie kupującej publiczności.

Wśród ściśnionego powietrza, gdzie gorąco kaloryferu przytłumiało wonie materyj, wzrastał zgiełk, na który składały się różne odgłosy: kro-

ki ludzkie, frazesa powtarzane sto razy przy kon-
tuarach, brzęk złota na mosiężne blaty kas, oble-
gane ciżbą portmonetek; toczące się kosze, z któ-
rych paczki nieustannie zsuwały się do ziejących
paszcz suterren. Gęsty pył wszystko zasłaniał,
nie można już było odróżnić oddziałów; tam no-
rymberszczyzna zdawała się zatopiona; dalej
w białych towarach, pas słońca wdzierającego się
przez okno od ulicy Neuve Saint - Augustin, wy-
glądał jak strzała złota na śniegu; — tu, przy ga-
lanteryjnych i wełnianych towarach, zbita masa
kapeluszy i szynionów, zakrywała wewnątrz ma-
gazynu. Już nawet nie było widać toalet, tylko
strój głowy, zdobny w kolorowe pióra i wstążki.
Gdzieś tam kapelusz męzki, stanowił czarną
plamę; blada cera kobiet ze zmęczenia i gorąca,
przybierała przejrzystość kamelii. Nareszcie,
dzięki silnym łokciom, Hutin utorował drogę
swym paniom, idąc przed niemi. Ale wszedłszy
na wschody, Henryeta już nie zastała Moureta,
który pograżył właśnie Vallagnosa w serce tłū-
mu, żeby go do reszty odurzyć; sam doznając tak-
że fizycznej potrzeby skąpania się w swym sukce-
sie. Rozkosz tamowała mu oddech; gdy go tłū-
czono ze wszech stron, zdawało mu się, że to dłu-
gi uścisk całej jego klienteli.

— Proszę pań na lewo - powiedział Hutin, za-
wsze ugrzeczniony, pomimo wzrastającego roz-
drażnienia.

Na górze był taki sam tłok jak na dole, zapelniono nawet oddział meblowych materyj, zazwyczaj najspokojniejszy. W oddziałach szali, futer, bielizny, roily się tłumy. Gdy nasze damy przechodziły koło koronek, nastąpiło nowe spotkanie. Była tam pani de Boves z córką swą Bianką; obie całkiem zajęte przedmiotami, które im pokazywał Deloche.

Hutin zmuszony był znowu się zatrzymać z paczkami.

— Dzień dobry! Myślałam właśnie o paniach.

— A ja szukałam pani. Ale jak się odszukać pośród tego tłumu.

— Prześlicznie tu, prawda?

— Ośniewająco pięknie, moja kochana. Ledwie się trzymam na nogach.

— Kupujecie panie?

— O! nie, przypatrujemy się tylko. Siedząc odpoczywamy trochę.

Rzeczywiście pani de Boves, mając w kieszeni tyle tylko, ile trzeba było na zapłacenie powozu, kazała wyjmować z pudełek różne koronki, aby na nie patrzeć i dotykać ich. Poznawszy, iż Deloche jest to subiekt początkujący, ocięzały, powolny, nie umiejący oprzeć się kaprysom kobiecym, wyzyskiwała jego grzeczność, zajmowała go sobą od pół godziny i żądała coraz nowych przedmiotów do obejrzenia. Kontuar przepełnił się, pograżała rękę w fali gipiur, koronek *Malines*, *Valenciennes*, *Chantilly*, palce drżały poządliwie, twarz

rozczerwiała się ze zmysłowych rozkoszy. Obok niej Bianka, nurtowana tąż samą namiętnością, siedziała blada, z twarzą nalaną i mięsistą.

Tymczasem rozmowa szła dalej. Hutin je klął, czekając nieporuszenie, żeby się im podobało umilknąć.

— Cóż to przypatrujecie się takim krawatkom i chusteczkom, jakie wam wówczas pokazywałam—rzekła pani Marty.

Istotnie. Pani de Boves, którą koronki pani Marty dręczyły od soboty, uczuła potrzebę, chociażby dotknąć się podobnych, kiedy skąpstwo męża nie pozwalało jej zabrać ich z sobą. Zarumieniła się lekko, tłómacząc się, że Bianka chciała koniecznie zobaczyć krawatki z blondyny hiszpańskiej; w końcu dodała:

— Idziecie panie do okryć, a więc do widzenia, może się spotkamy w salonie orientalnym?...

— Dobrze — w salonie orientalnym — przepyszny jest!

Rozłączyły się w zachwyceniu, pośród natłoku, przy sprzedaży wstawek i tanich koroneczek. — Deloche uradowany z zajęcia, zaczął znów wypróżniać pudła przed matką i córką. Zwolna pomiędzy gromadkami, wzdłuż kontuarów, przeskakiwał się inspektor Jouve, krokiem militarnym, przy orderze, czuwając nad temi cennemi i wykwiłtnemi towarami, które tak łatwo ukryć pod paltotem lub w rękawie. Przechodząc po za panią de Boves, spostrzegł ze zdziwieniem, że pogrąża

ręce w stosie koronek *malines i valenciennes*, rzucił więc żywo okiem na te rozgrzankowane palce.

— Niech panie raczą na prawo! — rzekł Hutin, postępując dalej. Był zrozpaczony, czy nie dość, że opuścił sprzedaż na dole? Jeszcze go zatrzymywały na każdym kroku. W rozdrażnieniu tem, grała rolę nienawiść oddziału tkanin, względem oddziałów artykułów gotowych. Ciągła walka wrzała między niemi; współubiegały się o klientki i wykradały sobie nawzajem tantiemę. Jedwabie jeszcze bardziej niż wełniane tkaniny wściekały się, gdy im wypadło poprowadzić do okryć damę, która się decydowała na płaszczyk, obejrzawszy różne hafty i faille.

— Panno Klaro! — zawołał Hutin głosem zagniewanym, skoro się już ujrzał w oddziale.

Lecz przeszła, nie zważając na niego, całkiem zajęta sprzedawaniem. Sala była pełna; przesuwaly się przez nią szeregi osób, wchodząc i wychodząc przez drzwi od koronek i bielizny, będących naprzeciwko siebie. Przed lustrami, klientki przymierzały okrycia, wyginając kibicie. Czerwone dywany tłumiły odgłos kroków; dalekie głosy z dołu zamierały; słyhać było tylko ciche szepty całej cizby kobiet, jakby ociężałych wśród ciepła salonowego.

— Panno Małgorzato! — zawołał Hutin. Gdy się i ta nie zatrzymała, wycedził przez zęby, żeby nie być słyszany:— Łotrzyce!

Nie kochał ich wcale; mając nogi zmęczone od łażenia po wschodach, aby im sprowadzać klientki, złorzeczył im, że wyrywają mu zarobek. Była to głucha wojna z obu stron równie zacięta. Pod wpływem zmęczenia i ciągłego stania na nogach, płcie znikały, pozostawały zaś tylko sprzeczne z sobą interesa, podbudzane przez gorączkę kupiecką.

— Czyż nie ma nikogo? — zapytał Hutin.

W tej chwili, niespodzianie, spostrzegł Dyonizę. Od rana kazano jej składać, pozostawiono jej tylko kilka wątpliwych sprzedaży, lecz i te jej się nie powiodły. Skoro ją zobaczył i poznał, zajęta opróżnianiem kontuarów ze stosu okryć, pobiegł po nią, mówiąc:

— Proszę obsłużyć te panie.

Wsunął jej spiesznie w ręce sprawunki pani Marty, zmęczony ich dźwiganiem. Twarz jego ożywiła się złośliwym uśmiechem doświadczonego gracza, odgadującego w jaki kłopot wprowadza dziewczynę te damy. Dyoniza była zdumioną tą niespodziewaną okazyą do sprzedaży. Po raz drugi zjawiał się on przed nią jako nieznany przyjaciel, braterski i tkliwy, zawsze gotów w ciichości jej dopomagać. Oczy jej błyszczały wdzięcznością, przeprowadziła go długiem wejrzeniem, podczas kiedy on łokciami roztrącał tłumy i biegł jak najprędzej do swego oddziału.

— Chciałabym obejrzeć płaszczyki — powiedziała pani Marty.

Dyoniza zaczęła wypytywać: jaki rodzaj płaszczyka życzy sobie? Ale klientka sama niewiedziała, nie miała pojęcia; chciała widzieć modele. Dziewczyna zmęczona już, odurzona zgiełkiem, straciła głowę; u Cornaille'a w Valognes, zwyczajną była tylko jedną klientkę obsługiwać; nie wiedziała jeszcze, jakie są modele i gdzie ich szukać. To też długo zatrzymywała nasze damy, że się aż zniecierpliwiły. Kiedy pani Aurelia spostrzegła panią Desforges, musiała wiedzieć o jej stosunku z prycypałem, śpiesznie bowiem zapytała:

— Czy panie są obsłużone?

— Tak, przez tę pannę, która tam szuka — odpowiedziała Henryeta. — Ale zdaje się być jeszcze nieobytą, bo nie może nic znaleźć.

Starsza do reszty zparaliżowała Dyonizę, mówiąc po cichu:

— Sama panna widzisz, że nie umiesz. Daj pokój. — I zawołała: — Panno Małgorzato! podaj prędko jaki płaszcz.

Nie odeszła, podczas gdy Małgorzata pokazywała modele. Ta, w rozmowie z klientkami, przybierała głos suchy, grzeczny, obojętnie nieprzyjemne prostej dziewczyny, ubranej w jedwabie, ocierającej się ciągle koło zbytków, do których, sama nie wiedząc o tem, przejęta była złością i zazdrością. Jak tylko się dowiedziała, że pani Marty nie życzy sobie droższego nad dwadzieścia franków okrycia, skrzywiła się na znak politowania:

— O! pani chyba coś dorzuci, bo niepodobna znaleźć coś przyzwoitego w tej cenie — rzekła, rzucając na kontuar pospolite płaszcze, z gestem, który miał oznaczać: „zobacz tę lichotę.” Pani Marty nie śmiała ich pochwalić. Nachyliwszy się do ucha pani Desforges, szepnęła:

— Czy nie wolisz być obsłużoną przez mężczyzn? Jest się swobodniejszą.

Nareszcie przyniosła Małgorzata z poszanowaniem płaszczyk jedwabny, ubierany dżetem. Pani Aurelia zawołała szorstko Dyonizę:

— Zbliź się tu panna, bądź w czemkolwiek pomocą. Włóż to na siebie.

Dyoniza ugodzona w serce, tracąc nadzieję, czy się na co przyda w tym magazynie, stała nieruchoma z opuszczonemi rękami. Pewno mnie odprawią zaraz, myślała, dzieci zostaną bez chleba. Szmer wywołany ciźbą, huczał jej w głowie: czuła, że się chwieje na nogach, mięśnie miała zmęczone od ciągłego dźwigania okryć; nie знаła bowiem tak ciężkiej pracy. Jednakże zbliżyła się i Małgorzata układała na niej płaszczyk jak na manekinie.

— Trzymaj się panno prosto — powiedziała pani Aurelia.

Lecz w tej chwili zapomniano o Dyonizie, gdyż wszedł Mouret z Vallagnosc'em i Bourdoncle'm. Witął się z paniami i wysłuchiwał ich pochwał, oddawanych magazynowej wystawie nowości zimowych. Najwięcej podziwiała salon

oryentalny. Vallagnosc, który już obszedł wszystkie sale, okazywał więcej zdziwienia niż zachwyty, myślał bowiem jako obojętny pesymista, że bądź co bądź, jest to tylko nagromadzenie wielkiej ilości perkalików. Bourdoncle zapomniał, że należy również do zakładu, wieszował także pryncypałowi, aby tylko zapomniał o jego powątpiewaniu i obawach rannych.

— Tak, tak, jakoś to idzie, jestem zadowolony, powtarzał Mouret z rozpromienioną twarzą, odpowiadając uśmiechem na czułe wejrzenia Henryety. — Ale niechcę paniom przeszkadzać.

Znowu wszystkie oczy zwróciły się ku Dyonizie, którą Małgorzata obracała zwolna.

— Jak ci się zdaje? — zapytała pani Marty panią Desforges.

Ta jej dawała rady, jako najwyższy sędzia w rzeczach dotyczących się mody.

— Niebrzydki i krój oryginalny.

— Ależ go trzeba zobaczyć na samej pani — odezwała się pani Aurelia. — Rozumie się, iż nie zrobi efektu na tej pannie, niemającej ciała. Wyprostuj się panna, żeby pokazać płaszczyk w całej okazałości.

Damy się uśmiechnęły. Dyoniza strasznie zbladła. Wstyd ją ogarnął, że jest uważaną za maszynę, którą oglądają, strojąc z niej żarty. Pani Desforges, ulegając antypatyj, wynikającej z jej całkiem odmiennej natury, podrażniona łagodnym

wyrazem twarzy młodej dziewczyny, dodała złośliwie:

— Pewno leżałby lepiej, gdyby suknia tej panny nie była tak szeroka.

Rzuciła przytem na Moureta drwiące wejrzenie paryżanki, którą bawi śmieszne ubranie osoby przybyłej z prowincyi. Odczuł on miłosną pieszczotę tego spojrzenia, kobiety tryumfującej i szczęśliwej ze swej piękności i sztuki, zdawało mu się, że przez wdzięczność, wypada mu, jako człowiekowi uwielbianemu, także coś żartobliwego powiedzieć, pomimo życzliwości dla Dyonizy, której cichy wdzięk robił wrażenie na jego miłosnej naturze.

— Trzebaby też być lepiej uczesaną — szepnął.

Dopełniło to miary: pan pryncypał raczył się śmiać, a więc i wszystkie panny parsknęły. Małgorzała odważyła się udawać, niby przyzwoita dziewczyna, że się od śmiechu powstrzymuje; Klara odwróciła się od sprzedaży, aby się ubawić; nawet sklepowe od bielizny przyszły przywabiłone temi wybuchami. Co się zaś tyczy dam, to jako światowe osoby, dyskretnej się bawiły. Tylko cesarski profil pani Aurelii nie uśmiechał się, jak gdyby te piękne, naturalne włosy i delikatne dziewicze ramiona debutantki, zhańbiły jej udział, odbijając od ogólnej elegancyi. Dyoniza jeszcze więcej zbladła, pośród tych osób naigrzających się z niej. Czowała się pogwałconą, obnażoną, przez te wejrzenia, przeciw którym nie mo-

gła się bronić. Cóż zawiniła, żeby się tak uczepiono jej zbyt szczupłej figury i zbyt ciężkiego warkocza? Najwięcej ją bolał jednak śmiech Moureta i pani Desforges, odgadywała instynktownie ich stosunek. Serce jej doznawało nieznanego dotąd cierpienia. Ta dama musi być bardzo złą, myślała, kiedy dokucza biednej dziewczynie, która niczem na to nie zasłużyła. On zaś mroził ją trwogą tak dalece pochłaniającą wszystkie inne jej uczucia, że ich nie mogła rozbierać. Opuszczona jak parya, dotknięta w najgłębszych tajnikach niewieściej skromności i oburzona niesprawiedliwością, musiała tłumić dławiące ją łkania.

— Niechajże się uczesze jutro, bo to nie przyzwicie — powtarzał pani Aurelii okrutny Bourdoncle, który od pierwszego dnia skazał Dyonizę, pełen wzgardy dla jej drobnych kształtów.

Pani Aurelia przyszła nareszcie zdjąć płaszczyk z jej ramion, mówiąc pocichu:

— I cóż moja panno, ładny początek. Jeżeli nam chciała pokazać do czego jesteś zdolną... trudno być głupszą.

Dyoniza z obawy, by się nierozpłakać, wróciła do rozrzuconych ubrań, które zaczęła przenosić i porządkować na kontuarze. Tam przynajmniej ginęła w tłumie, a zmęczenie przeszkadzało jej myśleć. Lecz nagle poczuła przy sobie Paulinę, sklepową od bielizny, która znowu stanęła w jej obronie. Widziała całą scenę i szepnęła jej do ucha:

— Moja biedaczko, nie bądźże tak czułą. Nie zdradzaj się, bo się będą jeszcze gorzej znęcać nad tobą. Ja, która to ci mówię, nazywam się Paulina Cugnoń, jestem z Chartres, tak, moi rodzice mają tam młyn. W pierwszych dniach. byłiby mnie pozarli, gdybym się nie bronila. Odwagi! podaj mi rękę, będziemy z sobą gawędziły, ile razy zechcesz.

Ta wyciągnięta ku niej ręka, jeszcze więcej zmieszała Dyonizę. Uściskawszy ją ukradkiem, pośpieszyła wziąć stos paltotów, z obawy, aby jej nie wyłajano za to, że pozyskała przyjaciółkę.

Pani Aurelia sama włożyła płaszczyk na ramiona pani Marty: wówczas powstały okrzyki: doskonały! prześliczny! zaraz inaczej leży! Pani Desforges zawyrokowała, że trudnoby znaleźć coś lepszego. Zaczęły się pożegnania. Mouret odszedł, a Vallagnosc, zobaczywszy panią de Boves z córką w oddziale koronek, pośpieszył podać matce swe ramię. Małgorzata, stojąc przed jedną z kas w antresoli, wymieniała głośno rozmaite sprawunki pani Marty, która zapłaciwszy rachunek, kazała odnieść do swego powozu. Pani Desforges odnalazła swe paczki w kasie Nr. 10. Potem panie te spotkały się raz jeszcze w orientalnym salonie. Rozmawiały znowu, zachwycając się głośno. Nawet pani Guibal unosiła się:

— Przepyszny! robi złudzenie, że się jest w tamtych krajach.

— Prawdziwy harem... I są tam niedrogie rzeczy.

— Te dywany smyrneńskie. Ach ta Smyrna! Jakie barwy, jaka cienkość.

— A ten z Kurdystanu! przypatrz się, to zupełnie obraz Delacroix!

Powoli tłum się zmniejszał: dzwon powołał już dwa stoły, z przerwą całogodzinną, do posiłku wieczornego.

Do trzeciego stołu miano już zasiąść. W salach prawie już pustych, pozostały tylko niektóre klientki, tak zagorzałe do kupna, że zapomniały o czasie. Z zewnątrz słychać było turkot ostatnich dorożek, pośród przytłumionych odgłosów Paryża, który wydawał chrapliwe dźwięki nasyconego ludożeroy, trawiącego płótna, sukna, jedwabie, koronki jakimi karmiono go od rana. Wewnątrz iskrzące się płomienie gazowe, zapalone o zmierzchu, były świadkami ostatnich drgnień sprzedaży. Było to jakby pole bitwy, ciepłe jeszcze po rzezi, dokonanej na tkaninach. Subiekci pomęczeni obozowali wśród takiego nieładu na półkach i stołach, jak gdyby po nich szalony urągan przeleciał. W galeryach parterowych tak porozstawiano krzesła, że trudno było przechodzić, w składzie rękawiczek trzeba było przeskakować przez barykady z pudeł, jakimi się obstawił Mignot. Koło towarów wełnianych, przejście było niemożliwe. Liénard drzemał po nad morzem sztuk, gdzie sterczące jeszcze stosy,

do połowy tylko zwalone, wyglądały jak domy porwane wylewem rzeki. Dalej białe towary, leżały jakby śnieg na ziemi; potykano się o serwety jakby o wielkie kry i deptano po lekkich płatkach chustek do nosa. Takież samo zniszczenie było na górze, w salach antresoli: futra leżały na posadzce; okrycia piętrzyły się jakby płaszcze żołnierzy usuniętych już z pola bitwy. Koronki i bielizna, porozwijane, pogniecione, rzucone bez ładu, przywodziły na myśl całe rzesze kobiet, które się tam rozbierały, podżegane do pospiechu nagle obudzoną żądzą. Na dole zaś, w głębi domu, biuro ekspedycyi było w pełnym ruchu, wydając bezustanku nagromadzone tam pakunki, które ładowano na wozy. Były to ostatnie wstrząśnienia przepalanej maszyny. W oddziale jedwabi, gdzie się klientki tłumnie cisnęły, plac boju był zupełnie oczyszczony i można było swobodnie chodzić: halla była naga; kolosalne zapasy *Paris Bonheur*, zostały rozechwytane i uprzątnięte, jak gdyby zgłodniała szarańcza tamtędy przeszła. Pośród tej pustki, Hutin i Favier, rozgrzani jeszcze walką, przeglądali kwitariusze, obliczając swe procenta. Favier uciulał piętnaście franków, Hutin doszedł tylko do trzynastu; tak mu się niepowodziło tego dnia, że się wściekał ze złości. Oczy ich pałały chciwością; cały magazyn rachował tak samo i przejęty był taką gorączką, wśród brutalnej wesołości, jaka zwykle panuje w wieczory następujące po stoczeniu bitwy.

— A co, Bourdoncle, boisz się jeszcze? — zawołał Mouret.

Powrócił on do ulubionego miejsca na szczycie wschodów antresoli, gdzie stał oparty o poręcz. Widząc przed sobą taką rzeź materyałów, śmiał się z tryumfem. Obawy ranne, ta chwila oburzącej długości, o której nikt nie miał się dowiedzieć, wzniecały w nim potrzebę głośniejszego jeszcze tryumfu. Kampania została stanowczo wygraną, drobny handel dzielnicy w niwecz obrócony, baron Hartmann zdobyty, a wraz z nim miliony i grunta jego. Patrząc na kasyerów, pochylonych nad rejestrami i sumujących długie szeregi cyfr, słuchając brzęku złota, spadającego z ich palcy na miseczki miedziane, widział już *Bonheur des Dames*, przerastające na olbrzyma z hallą i galerjami, dochodzącemi aż do ulicy Dziesiątego Grudnia.

— A co, Bourdoncle?—rzekł — sam widzisz, że nasze składy za małe. Byłoby się sprzedało dwa razy więcej.

Bourdoncle korzył się; uradowany zresztą ze swej pomyłki. Ale oba naraz spowaźnieli: oto Lhomme, główny kasyer sprzedaży, który co wieczór, zebrawszy pieniądze ze wszystkich kas, obliczał je i wystawiał potem ogólną sumę, zawieszając na haku żelaznym arkusz papieru z wypisanym rachunkiem. Następnie zanosił pieniądze do kasy głównej w portfelu i workach, stosownie do ich jakości. Tego dnia złoto i srebro górowało,

szedł więc zwolna po wschodach, obarczony trzema ogromnemi workami. Mając uciętą prawą rękę, przy samem ramieniu, przyciskał je do piersi lewą, przytrzymując podbródkiem jeden worek, żeby się nie wysliznął. Zdaleka słychać było jego głośny oddech, przechodził przytłoczony i pyszny, pośród czołobitności subiektów.

— Ile jest Lhomme?—zapytał Mouret.

— Osiemdziesiąt tysięcy siedemset czterdzieści dwa franki i dziesięć centymów — odpowiedział kasyer.

Radosny śmiech rozległ się po Magazynie Nowości. Cyfra przechodziła z ust do ust. Jeszcze żaden magazyn nowości nie zdobył tak wysokiej sumy w ciągu dnia jednego.

Wieczorem Dyoniza idąc się położyć, wspierała się o cienkie ściany wąskiego korytarza, pod cynkowym dachem. Wszedłszy do swego pokoiku, zamknęła za sobą drzwi i rzuciła się na łóżko, tak ją nogi bolały. Długo, z ogłupiałą miną, patrzyła na stolik toaletowy, na szafę, na całą tę nagość, właściwą, tak zwanym umeblowanym pokojom. Tam więc miała żyć odtąd, a pierwszy tak przykry dzień, włókł się bez końca. Nie będąc miała odwagi na drugi podobny, pomyślała. Naraz przypomniało jej się, że jest w jedwabnej sukni; ten mundur ją przytłaczał, była więc tak dziecinną, że się wzięła do rozpakowania walizy, i ubrała się w swą starą wełnianą suknię, zawieszoną

na poręczy krzesła. Ale gdy się ubrała w tę lichą sukienkę swoją, opanowało ją wzruszenie i odrazu dławiące ją łkanie wybuchło nagle potokiem łez gorących. Rzuciła się znowu na łóżko i płakała na wspomnienie swych dwojga dzieci, płakała ciągle, nie mając siły ruszać się, pijana ze zmęczenia i smutku.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.